NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. | Kraków, 11 lutego 1911. | Nr. 6.

Straszny wybuch dynamitu.

(Treść na str. 2)



Straszny wybuch dynamitu.

(Do illustracyi tytułowej.)

Dynamit, to dziś jeden z najłatwiej i najsilniej wybuchających materyałów, więc też transport jego należy do czynności, grożących ogromnem niebezpieczeństwem i wymagających niesłychanej wprost ostrożności ze strony tych, którzy mają z nim do czynienia, w szczególności ze strony robotników, zajętych przy ładowaniu dynamitu. Dzisiejsze środki techniczne, tak bardzo udoskonalone, kazałyby przypuszczać, że ładowanie i przenoszenie dynamitu mogłoby się odbywać w sposób prawie automatyczny, bez pomocy rąk ludzkich. Z pewnością zapobiegłoby to niejednej katastrofie, a przynajmniej ograniczyłoby ich rozmiary.

Tymczasem w Ameryce, gdzie produkcya dynamitu prowadzona jest na wielką skalę, ładowanie i przenoszenie tego wybuchowego materyału odbywa się ze względów oszczędnościowych w sposób zupełnie prymitywny, skutkiem czego też przychodzi tam często do wypadków, których ofiarą padają robotnicy, tracąc życie lub odnosząc ciężkie rany.



Ze sportów zimowych: Dziatwa szkolna z Rokitnicy w Czechach na wycieczce narciarskiej.

Niedawno właśnie wydarzyła się taka katastrofa, jedna z najstraszniejszych w ostatnich latach, w Jersey-City, w miejscowości łączącej się topogaficznie z Nowym Jorkiem, od którego dzieli ją rzeka Hudson. Katastrofa ta odbiła się echem głośnem i u nas, ponieważ robotnicy, którzy padli jej ofiarą, byli prawie wyłącznie Polakami emigrantami.

Bilans ostatniej katastrofy jest wogóle nadzwyczaj smutny. Pięćdziesiąt ofiar w zabitych na miejscu, około tysiąca osób rannych, nadto olbrzymie straty materyalne, podane w przybliżeniu na cztery miliony dolarów, oto mniej więcej obraz skutków wybuchu.

Wedle informacyi, jakie dotychczas nadeszły z Jersey-City drogą telegraficzną do Europy, dynamit wybuchł w czasie wyładowywania go z wagonu do łodzi, znajdującej się poniżej. przy brzegu. Jedenastu robotników, zajętych przy tej czynności, miało za zadanie zsuwać paczki dynamitu po pomoście tak, by stosunkowo nieznaczna ich szybkość końcowa nie groziła zbyt silnem uderzeniem o dno łodzi, a w następstwie tego wybuchem.

Mimo wielkiej na ogół ostrożności, zaszedł przy ładowaniu wypadek, a skutkiem jego był straszny wybuch. Jak olbrzymią była siła tego wybuchu, dowodzą najlepiej jego następstwa, dowodzą spustoszenia, poczynione w ogromnym promieniu.

W ciągu paru zaledwie sekund przestały istnieć dwie łodzie wraz z całą załogą, zginęli równocześnie robotnicy, znajdujący się na górze obok wagonu.

W okolicy miejsca katastrofy dał się słyszeć przerażający huk, który wywołał olbrzymią panikę, zwłaszcza że w pierwszej chwili nie zdawano sobie sprawy, co straszliwą detonacyę i wstrząśnienie spowodowało. W znacznej nawet odległości od morza zatrząsł budynkami szalony prąd powietrza, powylatywały szyby i okna, a odłamki ich poraniły mnóstwo osób. Ludzie, przejęci panicznym strachem, przekonani, iż nastąpiło trzęsienie ziemi, powybiegali na ulice, powstało ogólne zamieszanie, które zwiększyło się na widok spieszących przez ulice miasta pogotowi straży pożarnej.

Dopiero po dłuższej chwili tłum uspokoił się i wówczas dopiero zajęto się rannymi, których masami poczęto zwozić do szpitalów.

Wskutek wybuchu zostało uszkodzonych wiele budynków w mieście, między innymi dworzec kolei w Jersey-City, stary ratusz, fabryka maszyn i hala miejska. W budynkach tych zarysowały się mury do wysokości drugiego piętra, co grozi im zawaleniem. Także kilka kościołów ucierpiało wskutek wybuchu.

Jednem słowem katastrofa w Jersey City wyrządziła olbrzymie szkody i straty, zaliczyć ją też



Zjazd naczelników sokolich: Grupa uczestników zjazdu grona nauczycielskiego IV. okręgu sokolego w Przemyślu. Fot. M. Todt, Przemyśl.

trzeba do najstraszniejszych, jakie się wogóle w ostatnich czasach wydarzyły.

Katastrofa awiatyczna.

Awiatyka święci wprawdzie coraz to nowsze tryumfy, niema jednak prawie tygodnia, by nie doniosły pisma codzienne o jakimś wypadku, który dotknął śmiałych zdobywców powietrza. Z każdym dniem ulepszają wynalazcy statki napowietrzne i prawdopodobnie doczekamy się chwili, gdy przy pomocy aeroplanów uskuteczni się regularną komunikacyę pomiędzy ważniejszemi miastami. Także i wojskowość zwraca wielką uwagę na żeglugę powietrzną, która w czasie wojny może oddać nieocenione przysługi.



Ze sportów zimowych: Saneczkarze krakowscy na Woli Justowskiej.

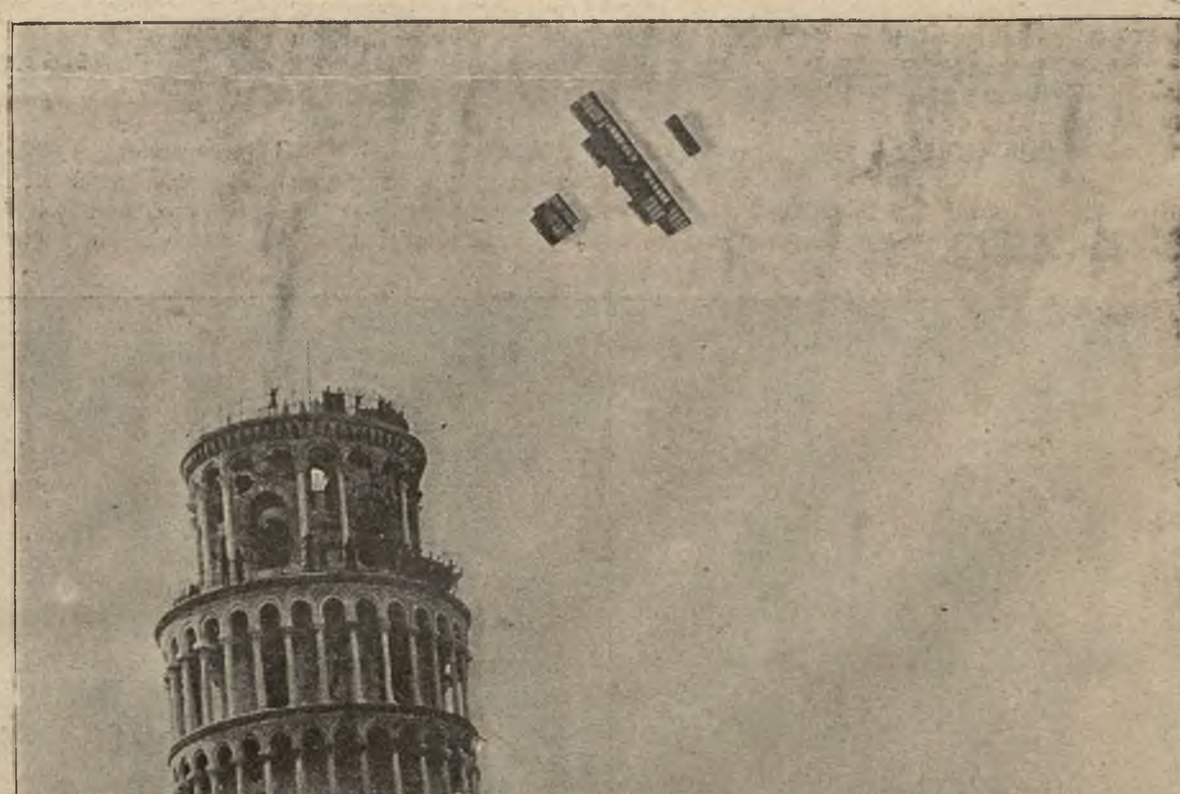


Ze sportów zimowych: Dzieci następcy tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, uprawiające sport saneczkowy w St. Moritz.

Za przykładem Niemiec i Francyi, gdzie awiatyka rozwinęła się już wspaniale, idą i inne państwa europejskie, poświęcające na żeglugę napowietrzną spore sumy i wprowadzają coraz to nowsze modele statków, które poddają wszechstronnym próbom.

W ubiegłym tygodniu przedsięwziął znany awiator włoski Maryan Cobianchi wzlot z pasażerem, którym był jenerał de Chaurand, komendant brygady piechoty w Pizie. Okrążywszy znaną powszechnie pochyłą wieżę w Pizie, awiator na wysokości około stu metrów ponad ziemią skierował swój biplan ku miejscowości *Cascine nuovo*. Wskutek niespodziewanego uderzenia fali powietrza statek pochylił się nagle na lewą stronę. Pilot usiłował przywrócić mu równowagę, lecz siły go zawiodły i latawiec wraz z podróżnymi runął na ziemię z błyskawiczną szybkością. Widzów, których na ulicach i placach zebrały się tysiące, ogarnął paniczny przestrach, sądzono, że żaden nie ujdzie śmierci. Pospieszono natychmiast ku miejscu upadku, znalazło się tam i miejscowe towarzystwo ratunkowe, które po ocuceniu omdlałych żeglarzy stwierdziło, ku ogólnej radości zgromadzonych, iż dzięki Bogu obaj wyszli obronną ręką, gdyż jenerał de Chaurand złamał tylko trzy żebra a pilot Cobianchi lewą nogę w trzech miejscach. Obu przewieziono do Pizy i poddano troskliwemu badaniu lekarskiemu. Przy pomocy promieni Röntgena swierdzono rodzaj obrażeń cielesnych, które, jeśli nie zajdą żadne komplikacye, powinny ustąpić w przeciągu najwyżej dwu tygodni.

Illustracya nasza przedstawia biplan pilota Cobianchi, okrążający słynną pochyłą wieżę pizańską.



Katastrofa awiatyczna: Biplan pilota Cobianchi'ego ponad pochyłą wieżą w Pizie.

Dwaj parlamentarzyści.

W dwóch stolicach, dwóch rywalizujących z sobą coraz jaskrawiej mocarstw europejskich, zmarli w ostatnich czasach dwaj parlamentarzyści, dwaj wręcz sobie usposobieniem, przynależnością partyjną, ideałami państwowymi i społecznymi przeciwni politycy.

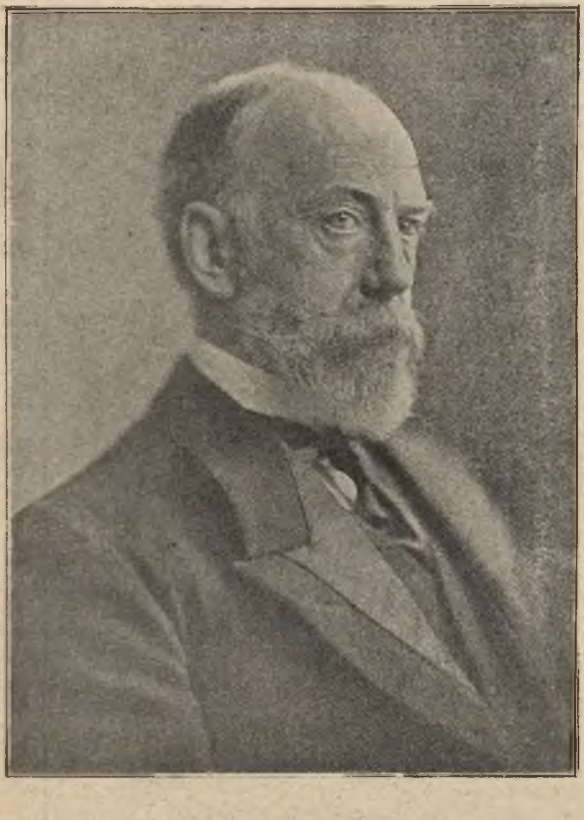
W Londynie zmarł po krótkiej chorobie w 68 r. życia jeden z najwybitniejszych parlamentarzystów angielskich, sir Charles Wentworth Dilke, w kilka zaś dni później, po długotrwałej chorobie, dokonał w Berlinie życia zaledwie o rok odeń młodszy Paweł Singer, jeden ze starych przywódców socyalizmu niemieckiego. Obaj odegrali w życiu politycznem swej ojczyzny wybitną, acz każdy odmienną rolę.

Sir Charles Dilke, syn bogatej i wpływowej rodziny, urodził się w r. 1843. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich i wielkiej podróży światowej, już w dwudziestym szóstym roku życia został wybrany do parlamentu, gdzie odrazu, wbrew tradycyom rodzinnym — ojciec jego był bliskim przyjacielem księcia Walii — wystąpił jako zapalczywy opozycyonista, domagający się ograniczenia listy cywilnej królowej Wiktoryi, tej królowej, która go niejednokrotnie jako dziecko jeszcze nosiła na rękach.

Z przyczyny tej powiedziała raz królowa żartobliwie: „Jako małego chłopca nosiłam go nieraz na rękach. Było to bardzo miłe dziecko, ale już wtedy musiałam go pod włos głaskać, skoro dziś stał się tak zaciętym moim wrogiem..."

Niedługo jednak trwał republikańsko opozycyjny okres w życiu Dilkego. Zajął się wnet żywo sprawami zagranicznemi, a w 1880 r. został podsekretarzem stanu w ministerstwie spraw zagranicznych za czasów Gladstone'a. W 1882 r. został ministrem, ale już w 1886 musiał ustąpić z powodu skandalicznego procesu rozwodowego. W sześć lat później wszedł znowu do parlamentu i pozostawał tam do końca życia, jako jeden z wybitnych przywódców parlamentarnej grupy konserwatywnej, ciesząc się wielkim, wiedzą i talentem dobrze zasłużonym wpływem. Inne było życie Pawła Singera. Syn niezamożnej żydowskiej rodziny kupieckiej, urodził się w Berlinie. Po ukończeniu szkoły realnej poświęcił się zawodowi kupieckiemu, co okazało się w praktyce

pomysłem bardzo dobrym, gdyż przyniosło Singerowi duży majątek prywatny. Równocześnie brał udział w życiu publicznem, zrazu jako radykalny demokrata, później jako socyalista. W roku 1884 wszedł do parlamentu i berlińskiej rady miejskiej, gdzie już do końca życia pozostał. U nas najbardziej



Dwaj parlamentarzyści: Sir Charles Wentworth Dilke.

był znany z swej słynnej, retorycznie doskonałej mowy, jaką wygłosił w 1908 r. w parlamencie przeciw cesarzowi Wilhelmowi. W czasach ostatnich, gdy w szeregi socyalistów niemieckich zaczął wkradać się rozłam, gdy wybuchł spór między t. zw. rewizyonistami, domagającymi się niektórych teoretycznych ustępstw ze strony socyalizmu, a między t. zw. marksistami, trzymającymi się ślepo przez Marksa i najbliższych mu skonstruowanej nauki socyalistycznej, Singer stanął po stronie tych ostatnich, jako jeden z filarów skrajnego, ortodoksyjnego marksizmu.

Stronnictwo własne stawiało go wysoko, stronnictwa inne, nawet socyalizmowi bardzo wrogie, ceniły w nim zalety jego osobiste i charakter czysty.

Obaj, tak Singer jak i sir Dilke, parlamentarzyści starej daty, w szeregach swych stronnictw pozostawili luki, które w czasach tak bogatych w kandydatów poselskich, a tak ubogich w prawdziwe talenty polityczne, jak właśnie czasy dzisiejsze, wypełnić będzie trudno.



Z życia gadów podzwrotnikowych: Walczące ze sobą potwory.

Z karnawału wiedeńskiego.

Minęła już połowa tegorocznego karnawału, więc fikalscy obojga płci poczynają się żywiej ruszać i coraz tłumniej wypełniać sale balowe, zwłaszcza że największe, najelegantsze bale zapowiedziano wszędzie na tę drugą połowę karnawału. Tak jest w Krakowie, tak we Lwowie i Warszawie, tak też i w innych miastach, między innemi w Wiedniu.

W stolicy naddunajskiej największy dotychczas sukces zdobył bal „przemysłu domowego", urządzony 31 stycznia w sali tamtejszego Towarzystwa muzycznego, na dochód Związku towarzystw popierania przemysłu domowego, pod protektoratem arcyksiężnej Maryi Józefy. Bal wspomniany powiódł się znakomicie pod każdym względem a uświetnił go w sposób wysoce artystyczny współudział kilku grup narodowościowych w przepięknych, barwnych, nadzwyczaj oryginalnych strojach ludowych. — Jedno z pierwszych miejsc zdobyła, wedle ogólnej opinii, polska grupa mazurowa, która odtańczyła z ogromnym temperamentem mazura i oberka w ośm par. Współudział w tej grupie przyjęli pp. Zofia hr. Csaky, Marya Dzierżanowska, Anna Harajewiczówna, Juliuszowa Haraschinowa, Zofia Lewakowska, Stefania Nentwig, Zofia Sawicka i Hilda Starzewska, oraz Stefan Czaykowski, Stanisław Dzierżanowski, dr. Juliusz Haraschin, dr. Stanisław Lewakowski, Józef Pochwalski, Teodor Trzaskowski, dr. Stanisław Solański i Stanisław Starzewski.

Publiczność wiedeńska była zachwycona pięknymi strojami krakowskimi, w jakich grupa polska wystąpiła, przedewszystkiem zaś dziarską postawą tancerek i tancerzów, to też taniec ich nagrodziła hucznymi, długo niemilknącymi oklaskami.

Zaznaczyć jeszcze należy, że zorganizowaniem wspomnianej grupy zajęła się lwowska „Liga pomocy przemysłowej".

Bal „przemysłu domowego" zgromadził w prześlicznie udekorowanej sali Towarzystwa muzycznego bardzo wiele osób z pośród arystokracyi polskiej, czeskiej i niemieckiej, przybyli też arcyksiążęta Karol Franciszek Józef, Karol Stefan i Karol Albrecht, wielu posłów i dygnitarzy.

Zjawili się oczywiście także najwybitniejsi członkowie Polonii wiedeńskiej, oraz ministrowie Polacy, dr. Głąbiński i Zaleski.

Z innych grup, które na balu „przemysłu domowego" wystąpiły w strojach etnograficznych, wspomnieć należy o pięknej grupie krajów alpejskich, dalej o grupach czeskiej, ruskiej i południowosłowiańskiej.

Zdjęcie nasze przedstawia dziarską grupę polską.



Z karnawału wiedeńskiego: Polska grupa mazurowa w krakowskich strojach ludowych, która wystąpiła na balu „przemysłu domowego" w Wiedniu.

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącemi sosnami.

(Ciąg dalszy).

11

„Stąd oto te trzy stłuczone kieliszki, które na stole znaleziono. Gdyby siostra nie była umarła owej nocy, jabym się z tego teraz śmiał! Przeklinam... przeklinam tego jej Ranelagh'a, a czasem i samego siebie!

„Czy czego więcej odemnie potrzeba? Bo jeżeli nie, to mnie pilno do domu!

Wyższy sędzia śledczy, który dotąd siedział bez ruchu, słuchając, podjął ze stołu zapisany arkusz i przejrzał go spiesznie.

— Bardzo mi przykro — przemówił — ale będę musiał zatrzymać pana jeszcze na chwilę. Co się stało po obiedzie? Dokąd się pan udałeś, wstawszy od stołu?

— Poszedłem palić do mego pokoju. Wzburzony byłem i pić pragnąłem, jak ryba.

— Czy miewa pan napoje w swoim pokoju?

— Czasami.

— A owego wieczora?

— Ani kropelki. Nie śmiałem. Miałem ochotę na tę napoczętą butelkę szampana, ale Adela mnie wyprzedziła. Kazała ją wyrzucić, czy wylać — tak, zdaje mi się, że kazała ją wylać.

— Więc nie piłeś pan? Pan tylko paliłeś w swoim pokoju?

— Wypaliłem jedno cygaro. Tylko jedno. A potem poszedłem do miasta.

Odpowiadał chmurno; wzruszenie, co go tak podnieciło przed chwilą, teraz opuściło go zupełnie. Zagasł wzrok jego, zacięły się przykro usta, a z twarzy uszło naraz to wszystko, co mogło go sympatycznym uczynić.

— Bądź pan łaskaw podać, któremi drzwiami wyszedłeś z domu?

— Bocznem wyjściem, tak jak zawsze.

— A jakie okrycie miałeś pan na sobie?

— Nie pamiętam. Pierwsze lepsze zapewne; jakie mi w rękę wpadło.

— Ale pan chyba pamięta, jaki pan miał kapelusz?

— Nie, nie pamiętam — krzyknął gwałtownie — Cóż mój kapelusz może mieć wspólnego z winą Elwoode Ranelagh?

— Nic prawdopodobnie — odpowiedział sędzia niezmieszany — nam jednak zależy na dokładnem stwierdzeniu, jakie okrycie i jaki kapelusz miałeś pan wtedy, idąc do miasta.

— Powiedziałem już panu, że ja tego nie pamiętam.

Młodzieniec poczerwieniał na twarzy.

— Czy to nie te przypadkiem? — zapytał wyższy sędzia, dając znak Sweetwaterowi, który się też natychmiast wysunął, niosąc stary, wytarty paltot i zgniecioną czapkę dżokejkę.

Młodzieniec drgnął, powstał, usiadł znowu i krzyknął z gniewnym naciskiem:

— Ależ nie!

— Ale pan poznaje te rzeczy?

— Dlaczego nie miałbym ich poznać? To są moje rzeczy. Ale ja ich już nie noszę. Dawno je wyrzuciłem. Musieliście je wyciągnąć z jakiegoś schowania.

— To prawda; może nam pan powie z którego schowania?

— Ja? Ja nie wiem. Skądże ja mogę wiedzieć, co się dzieje z mojemi staremi rzeczami? Zostawiam to kobietom.

Bardzo lekko zająknął się przy tych słowach.

— Panie Cumberland — rzekł wyższy sędzia z wielką powagą — tę czapkę i ten płaszcz, chociaż zniszczony, miał na sobie ktoś, kto wyszedł z pańskiego domu owej nocy. To wiemy z zupełną pewnością. Wiemy nawet, że w tych rzeczach był w klubie.

Machinalnie, już nie tak porywczo teraz, młodzieniec powstał i popatrzył najpierw na mówiącego a potem na ubranie, które Sweetwater wciąż przed nim prezentował. Nie unosił się gniewem teraz; tak nim to wstrząsnęło, że ani odpowiedzieć nie mógł na razie, ani opanować twarzy i postawy.

Ochłonął jednak po pewnej chwili, pod badawczym wzrokiem tych trzech ludzi, pożerających oczyma twarz jego niespokojnie i ciekawie.

— Ja nic o tem nie wiem.

Tymi słowy Artur Cumberland starał się wymknąć z tej sieci, którą nań tak podstępnie zastawiano.

— Ja tych rzeczy nie miałem na sobie. Wszyscy mogą powiedzieć, w jakich rzeczach wróciłem do domu. Może Ranelagh pożyczył...

— Ranelagh miał na sobie własny płaszcz i kapelusz. Zostawmy teraz kwestyę ubrania na boku i przejdźmy do przedmiotu, o którym nam pan coś więcej będziesz mógł powiedzieć. Panie Cumberland, pan nam powiedziałeś, że nie wiesz i nie pamiętasz, gdzie spędziłeś ową noc i część następnego ranka, że pamiętałeś tylko, iż byłeś w takiem miejscu, gdzie pozwolono ci pić do upadłego i zostać, jak długo chciałeś. Nie było to żadne z tych miejsc, gdzie pan zazwyczaj pijałeś. To nam się wtedy dziwnem wydawało; po tem zdarzeniu przy stole, które nam pan opowiedziałeś, rozumiemy teraz lepiej. Bałeś się pan, by siostra pańska się nie dowiedziała, że tak prędko mogłeś zapomnieć wrażeń owej chwili. Chciałeś pan pić potajemnie. Czy nie mam słuszności?

— No tak; to przecież dość jasne, Boże mój! Czemu pan znowu o to potrąca? Czy pan nie widzi, że to mnie do szaleństwa przywodzi? Czy chciałby pan, żebym się rozpił na nowo?

Tu wmieszał się dr. Perry. Bardzo on chętnie zostawił ciężar przykrego badania w rękach obojętnego człowieka; ale słysząc ten krzyk oburzenia, wysunął się naprzód i tonem ojcowskiej perswazyi zauważył dobrotliwie:

— Nie czuj się dotkniętym urzędowym tonem i urzędowem badaniem, Arturze. Wszystko, co pan Fox mówi, ma swoje uzasadnienie. Odpowiadaj mu szczerze, a przesłuchanie skończy się prędko. Przecież nie chcemy cię dręczyć, chcemy dotrzeć do prawdy jedynie.

— Doprawdy? Ja myślałem, że prawdę już znaleźliście. Prawda? Do czego właściwie? Czy Ranelagh, czy ja? Tak, jakby tu o mnie chodziło, po rodzaju pytań sądząc!

— Na razie też chodzi o pana — odezwał się znów Mr. Fox, gdy kolega jego znowu w cień się cofnął. — Pan nie możesz sobie przypomnieć, w jakim lokalu pan piłeś. To ostatecznie możebne; ale może pan pamięta, co oni panu dali do picia. Czy whisky, czy rum, czy absynt, czy co?

To pytanie znienacka zaskoczyło słuchającego. Artur westchnął i wzrokiem poszukał życzliwego spojrzenia doktora Perry. Twarz starego przyjaciela jednak ukryta była w cieniu i młodzieniec nie znalazł w niej pociechy ani zachęty.

— Piłem... absynt — odpowiedział po dłuższym namyśle.

— Czy z tej butelki? — zapytał Mr. Fox i skinął znowu na Sweetwatera, który przedstawił znalezioną w Cuthbert Road butelkę.

Artur Cumberland popatrzył na butelkę, którą mu detektyw podsunął, zobaczył markę, zobaczył kształt i opadł, jak podcięty na krzesło, z szeroko rozwartemi, zestrachanemi oczami.

— Gdzie pan to znalazł? — zapytał, z rozpaczanym wysiłkiem, opanowując się napozór.

Wyższy sędzia śledczy odpowiedział:

— Znaleziono tę butelkę w małym zajeździe na Cuthbert Road, tam gdzie się kończą hale targowe.

— Ja nie znam tego lokalu.

— To blisko domu pod Szumiącemi Sosnami. Widzi się budynek klubu z progu drzwi tego zajazdu.

— Ja nie znam tego zajazdu, jeszcze raz panu to mówię.

— To nie żaden elegancki lokal; bynajmniej nie tak wykwintny, żeby napoje tej marki mógł mieć w swojej piwnicy. Powiadają, że to ma być wyborowy gatunek. Że mało kto sobie na taki pozwala. Że tylko dwie butelki tego zostały w piwnicy klubu, gdy po raz ostatni robiono inwentarz i że te dwie butelki zginęły i że...

— I że to jest jedna z tych dwóch? Czy to pan chciał powiedzieć? No, to bardzo może być. Ja jej tam nie zaniosłem. I ja z niej nie piłem.

— Widzieliśmy gospodarza i gospodynią tego zajazdu. Oni powiedzą, jeśli ich zapytamy.

— Doprawdy? No, to panowie musicie być kontenci. Ja z tą całą sprawą nie mam nic wspólnego.

Zaszła w nim zmiana. Drażliwość, wciąż grożąca wybuchem, ustąpiła. Mówił spokojnie, z odcieniem ironii w głosie. Więcej męskim był teraz, ale nie robił korzystniejszego wrażenia i raczej mniej budził zaufania, niż pierwej. Znać było po wyższym sędzim śledczym, że jest strapiony, a dr. Perry niespokojnie kręcił się na krześle. Dopiero Sweetwater, wystąpiwszy naprzód, z kolei przemówił i to po raz pierwszy ujmując w ręce badanie.

— Jeżeli tak, to nie zechce nam pan odmówić wielkiej uprzejmości — zaczął jak najgrzeczniej wświecie. — To stąd niedaleko. Czy nie poszedłby pan tam ze mną, podniósłszy wysoko kołnierz od paltota i spuściwszy dobrze kapelusz na oczy; tam poprosiłby ich pan o miejsce w alkierzyku i pokazałby im pan tę butelkę. Nie poznają, że ona pusta. Mąż jest bystry a kobieta inteligentna. Zobaczą, że pan jest obcy człowiek i wpuszczą pana chętnie. Oni się tylko jednego człowieka boją — tego, który tam pił tej nocy, gdy siostrę pańską zamordowano.

— Jesteś pan... — zaczął Artur Cumberland z porywem poprzedniej gwałtowności; spostrzegłszy się jednak widocznie, że schwytany jest w zasadzkę, opanował się i już spokojniej mówił dalej:

— To bardzo dziwne żądanie. Widzę, że tu słowa moje nie znajdują wiary... Czyż moje wady temu winne i czy to moje otwarte przyznanie się, w jak obrzydliwy sposób spędziłem ową noc, sprawiają, że panowie już nic poczciwego nie widzicie we mnie? Że macie mnie za kłamcę i krętacza? Ale ja nie jestem taki. Nie pójdę z panem do tej pijackiej nory, chyba że mnie przymusicie, ale gotów jestem przysięgnąć...

— Nie przysięgaj pan — odezwał się dr. Perry. — Nie uwierzymy ci, a dodasz jeszcze krzywoprzysięstwo do reszty.

— Nie uwierzycie mi, panowie?

— Nie — mamy do tego przyczyny, mój chłopcze. Były tam dwie butelki.

— I cóż stąd?

— Drugą znaleziono w pobliżu twego domu.

— To jakiś podstęp. Panowie zabawiacie się w jakieś podstępne sztuczki...

— Nie w tym wypadku, Arturze. Słuchaj, zaklinam cię na pamięć ojca twego, bądź z nami szczery. Uwięziliśmy człowieka. On twierdzi, że jest niewinny, ale nie może dostarczyć żadnego świadka na poparcie tego. Ale świadkowie tacy mogą być. I w istocie przypuszczamy, że taki świadek istnieje. Człowiek, który zabrał butelki z piwnicy klubowej, uczy, nił to o kilka minut przed lub po tym czasie, gdy na siostrze twojej zbrodnię popełniono. Ten człowiek mógłby nam dać cenne świadectwo przeciw Elwoodowi Ranelagh albo też za nim. Otóż teraz wiesz-dlaczego poszukujemy tego świadka i dlaczego mniemamy, że możesz nam dopomódz do rozwikłania tej zagadkowej i niezwykłej sprawy. Mów szczerze, a dalej pytać nie będziemy. Ale tak, jak się stawiasz, szkodzisz sam sobie. W naszej opinii możesz tylko wzbudzić podejrzenie, że ciąży na tobie coś więcej, niż zaniedbanie obowiązku złożenia świadectwa, jako nowy i dotąd niepodejrzany świadek.

— To okropne!

Młody Cumberland stał teraz i chwiał się przed nimi, jak człowiek ugodzony w głowę aż do utraty przytomności.

— Boże! Czemu ja nie umarłem tamtej nocy! — szepnął. — Nie podnosił oczu od ziemi; każdy muskuł w nim drgał pod ciosem tych ostatnich słów okropnych.

— Doktorze Perry — jęknął nagle i wyciągnął rękę błagalnie, podczas gdy drugą chwycił, szukając oparcia, kant stołu. — Pozwól mi pan już odejść dzisiaj. Pozwól mi się zastanowić. Taki mam zamęt w głowie! Będę chciał jutro odpowiedzieć...

Mówiąc to jednakże, sam poznał błahość swej prośby. Spojrzał znowu na butelkę i pomyślał, że to przecież świadek, który mówić będzie przeciw niemu, jeżeli on sam zamilczy.

— Nie, nie, nie odpowiadaj pan — ciągnął dalej, przytrzymując się stołu. — Zawsze głupcem byłem i teraz także jestem. Już wolę wyznać prawdę. Niech raz temu będzie koniec. Ja byłem w domu klubowym. Wykradłem butelki z piwnicy. Wyniosłem je, by módz się w spokoju uraczyć i poszedłem gdzieś do jakiejś dziury na Cuthbert Road. Wyznaję to, ale to też już jest i wszystko. Niczego więcej do powiedzenia nie mam. Nie wiem nic o morderstwie mojej siostry: nie wiem nic, co się działo na górze. Dostałem się przez otwarte okno nad kuchennemi schodami i tamtędy też wyszedłem. Chodziło mi tylko o ten napitek, a gdy go raz zdobyłem, wysunąłem się, jak mogłem najprędzej i poszedłem terenami gry w golfa ku drodze.

Ocierając pot z czoła, stał, drżący cały. Sweetwater pragnął być o sto mil od tej sceny. To była niewesoła część jego roboty.

— Wszedłeś pan przez otwarte okno — zaczął znów Mr. Fox. — Dlaczego nie drzwiami?

— Bo nie miałem klucza. Ten tylko zdjąłem z kołka, który otwierał piwnicę. Resztę zostawiłem. To właśnie widok tego klucza na stole w sieni nasunął mi tę myśl. Wstyd mnie, gdy o tem myślę, ale o to teraz nie chodzi. Bardzo mi tylko zależy na tem, żebyście mi panowie uwierzyli. Nie byłem wmięszany w sprawę morderstwa mojej siostry. Nie wiedziałem o tem, co się na górze dzieje i bardzo żałuję, że nie wiedziałem. Może byłbym mógł Adelę wyratować!... Ale już widać tak było sądzone.

Zarumieniony zwolna opadł znów na krzesło. Teraz już się nie skarżył, że mu spieszno, że pilno

mu wracać do chorej siostry. Może zapomniał obaw swoich o nią wśród wzruszających przejść obecnej chwili.

— Czy pan nie próbował otworzyć drzwi frontowych?

— Na co? Wiedziałem, że są zamknięte.

— A okno? Ono też przypuszczalnie musiało być zamknięte?

Zarumienił się silnie, gorączkowo.

— Będziecie mnie panowie mieli za ulicznika, albo za coś jeszcze gorszego! — zawołał. — Ja znałem to okno, ja już nieraz tamtędy wchodziłem... Można to okno otworzyć końcem scyzoryka. Rachowałem na to, że tamtędy wejdę.

— To potwierdza opowiadanie pana Ranelagh — zauważył Mr. Fox, zwracając się do doktora Perry. — On powiada, że znalazł okno otwarte, gdy zbliżył się z zamiarem uciekania tamtędy.

Artur Cumberland nie poruszył się nawet.

Mr. Fox znów zwrócił się do niego.

— Było tam sporo tych butelek, wyniesionych z piwnicy; z jakie pół tuzina zostało na stole w kuchni. Dlaczego zadałeś pan sobie trud wynoszenia po schodach aż tylu?

— Ponieważ w chciwości mojej nie policzyłem się z możnością. Myślałem, że uniosę tyle, ile obejmę, ale to było niemożebne. Zrozumiałem to, gdym sobie przypomniał, jak daleko będę musiał iść i dlatego większą część zostawiłem na miejscu.

— Jakto, przecież pan miałeś sanki i mogłeś jechać?...

— Ja... Ja nie miałem sanek.

Kosztowało go widocznie to zaprzeczenie. Pobladł i już ta bladość nie zeszła z jego twarzy przez cały przeciąg dalszego przesłuchania.

— Nie miał pan sanek? Jakżeż więc zdążyłeś pan do domu na czas, by wrócić na Cuthbert Road na wpół do dwunastej?

— Nie wracałem wcale do domu. Poszedłem prosto przez teren golfowy. Gdyby świeży śnieg nie był upadł, znaleźlibyście moje ślady aż do Cuthbert Road.

— Gdyby świeży śnieg nie był upadł, całe dzieje tej nocy w niecałą godzinę byłyby nam wiadome. W jakiż sposób niosłeś pan te butelki?

— W kieszeniach paltota. W tych kieszeniach — odbu knął, trzepnąwszy rękami po obu bokach.

— Czy śnieg już zaczynał padać, gdy pan wychodziłeś z klubu?

— Nie.

— Czy było ciemno?

— Bynajmniej. Było jasno, jak za dnia, inaczej nie byłbym się tak prędko przedostał przez teren golfowy.

— Prędko? Jak prędko?

Mr. Fox spojrzał na doktora Perry, a Sweetwater wysunął się naprzód ze swego kącika.

— Nie wiem. Nie rozumiem tych pytań — odpowiedział Artur Cumberland pochmurnie.

— Szedłeś pan szybko. I nie oglądałeś się pan wcale?

— Ja to, czy się nie oglądałem?

— Siostra pań ka zapaliła świecę w małym pokoiku, w którym płaszcz jej znaleziono. To światło musiało być widoczne z terenów golfowych.

— Nie widziałem żadnego światła.

Odpowiadał niechętnie szorstko. Przedstawiał się teraz jak można najgorzej.

Zadano mu jeszcze kilka pytań, ale te już były mniej ważne. Najważniejsza część badania była już skończona.

Dr. Perry znacząco spojrzał na wyższego sędziego śledczego, który palcami trącając w stół, wahał się przez chwilę, aż wreszcie zwrócił się znów do Artura Cumberlanda.

— Chce pan wrócić do siostry? Może pan wrócić. Już dziś dłużej fatygować pana nie będę. Pańskie sanki czekają zapewne?

Młody człowiek skinął głową a powstając zwolna, spojrzał na obu sędziów badawczo; nie uszło to czujnego oka Sweetwatera. Nie okazywał już teraz gniewu, ani nawet niecierpliwości. Chciał coś powiedzieć, ale nie dosłyszeli i ruszył ociężale, ze spuszczoną głową.

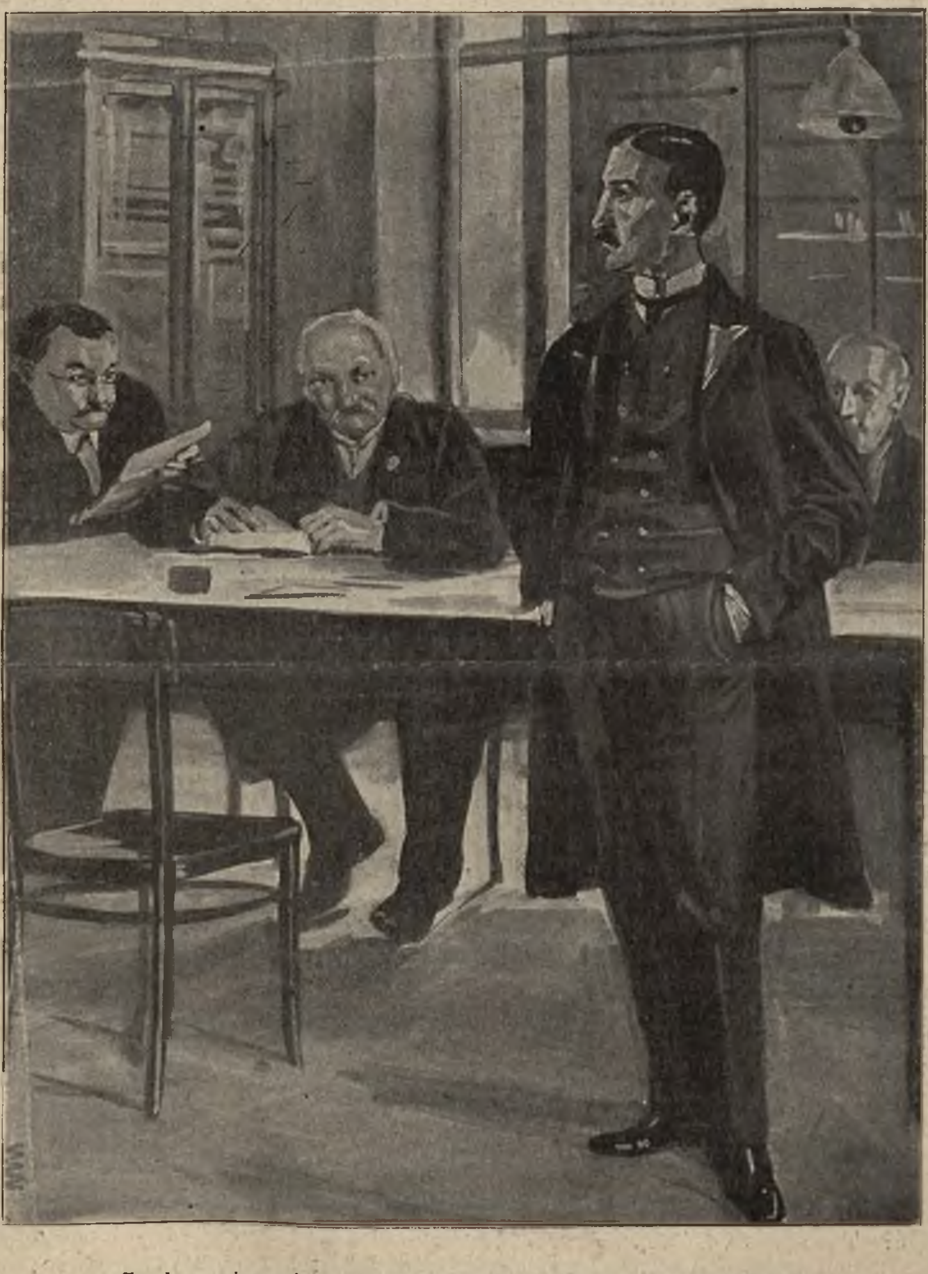
Patrzyli za odchodzącym, milcząc, tak jak i on. Doktór Perry chciał coś powiedzieć, ale i jemu to nie szło. Gdy młodzieniec nacisnął klamkę i drzwi otworzył, odetchnęli wszyscy lżej, jednakże bacznie zaraz skupili uwagę, gdyż odwrócił się nagle w progu i dodał tę ostatnią uwagę:

— Co to panowie mówili o jakiejś butelce z specyalną etykietą, którą znaleziono w pobliżu naszego domu? To nie może być, chyba że tu ktoś panom wypłatał jakiegoś figla. Ja sam wyniosłem te dwie butelki. Jedną widzicie panowie tutaj; druga?... Ja sam nie wie wiem, gdzie może być druga, ale ja jej nie zanosiłem do domu. O tem was, panowie, zapewniam.

Jeszcze raz spojrzał, zmarszczył się i mruknął, co może miało oznaczać pożegnanie i poszedł.

Sweetwater wysunął się i zamknął drzwi; a potem wszyscy trzej skupili się w gromadkę, wyższy sędzia śledczy zaś oświadczył:

— Niechaj on lepiej zostanie w domu. Nie miałem serca ze względu na pana, doktorze Perry, przyspieszać rzeczy bez absolutnej konieczności. Ale co też to za gbur! Przepraszam pana, ale co też to za gbur, gdy się go porówna z tak niezwykłemi i pełnemi uroku siostrami!



Zaszła w nim zmiana. Mówił spokojnie, z odcieniem ironii w głosie.

— I z takim ojcem — wtrącił dr. Perry.

— Tak — i z takim ojcem. Sweetwater, hm... co tobie? Wyglądasz niekontent. Czy uważasz, że ja w czemś chybiłem?

— Nie, proszę pana, tylko...

— No dalej, jakie „tylko"?

— Nie wiem, co powiedzieć. Wszystko dobrze, a jednak... Może to we mnie samym leży... Jestem zmęczony zapewne. Czy jestem jeszcze na co panu potrzebny? Jeżeli nie, chętniebym się przespał. Dobra noc przespana postawi mnie na nogi.

— Idźże więc; to znaczy, jeżeli dr. Perry nie zażąda czego od ciebie.

— Nie. I ja także pragnąłbym zasnąć. — Ale dr. Perry nie wyglądał, jak gdyby mógł liczyć na sen tej nocy.

Sweetwater rozjaśnił twarz. Jeszcze parę słów porozumienia co do jutra i poszedł. Obaj starsi panowie siedzieli dalej, od czasu do czasu zamieniając jakieś słowo. Zegar na górze wybił godzinę. Po jakim kwadransie odezwał się telefon. Dr. Perry powstał i ujął słuchawkę. W ogromnej ciszy północnej godziny słyszeli obaj słowa mówiącego.

— Dr. Perry?

— Tak jest, słucham.

— Wrócił o trzy na dwunastą, bardzo wzburzony i blady. Natknąłem się na niego w dolnej sieni, taki był zły, iż myślałem, że mnie uderzy; ale zaklął tylko i przeszedł prosto do pokoju siostry. Czekałem, aż wróci; a potem udało mi się widzieć się z pielęgniarką, która mi opowiadała następującą rzecz:

Drżał cały, gdy wszedł, ale ona zapewnia, że nie pił. Odrazu przystąpił do łóżka; siostra jednakże spała i on się przy niej nie zatrzymywał, tylko zbliżył się do pielęgniarki i zagadując o coś, zaczął się koło niej kręcić. Nagle poczuła jakieś szarpnięcie i spojrzawszy prędko, zobaczyła, że notatnik, który nosi na sznureczku przy pasku, opada na swoje miejsce. Podniósł go i prawdopodobnie przeczytał, co ona tam podczas jego nieobecności zapisała.

Rozgniewała się, ale on się tylko roześmiał, widząc, że jest złapany i powiedział zupełnie śmiało. „Pani spisuje majaczenia mojej siostry. No dobrze, one mnie nie mniej obchodzą, jak panią i mam przecież równe prawo czytać je, jak pani spisywać. Dzięki Bogu, są to bredzenia zupełnie niewinne! Sama pani przyzna to musi". Nie odpowiedziała na to nic, ale że odtąd książeczkę przed nim chować będzie, to pewna.

— A co on teraz robi? Czy idzie na noc do swego pokoju?

— Nie. Poszedł tylko zabrać stamtąd poduszkę. Będzie spał w alkowie.

— Czy pije?

— Ani kropelki. Kazał sprzątnąć whisky i schować do kredensu. Słyszę, że jęczy chwilami, jak gdyby mu tego strasznie było brak, ale ani tyle co naparstek nie ubyło z butelki.

— Dobranoc, panie Hexford.

— Dobranoc.

Poszli po swoje paltoty. Dopiero wychodząc, zamienili parę słów:

— O dziesiątej jutro rano.

— O dziesiątej.

XVIII.

NAPISANE BYŁO NA TEM...

Wyższy sędzia śledczy miał słuszność. Sweetwater był niesw ój. Chociaż się przespał, nic to nie pomogło. Nadrabiał miną podczas drugiej rannej konferencyi z sędziami, ale gdy o drugiej znalazł się znowu w okolicy klubu, nie było na twarzy jego tego ożywienia, z jakiem zwykł zawsze zabierać się do roboty.

Bystro jak zawsze jednak rozglądał się dokoła.

Oficerowie policyjni, stróżujący tam, znali go już teraz wszyscy i pozwalali mu chodzić i kręcić się, gdzie chciał. Dobrą godzinę przepatrywał okolicę, badał teren gry w golfa, rozpatrywał kierunki i odległości, szukał śladów; śnieg jednakże teraz, zdeptany nogami, przedstawiał jedną zlodowaciałą skorupę.

Sweetwater wszedł ostatecznie do domu i stanął w wąskiem, długiem oknie pokoiku, skąd widok ogarniał tereny gry w golfa.

Z brodą opartą na ręku, stanął przy oknie, rozpatrując przestrzeń przed sobą i szukając, czy nie znajdzie gdzie nowej wskazówki.

— Czegoś braknie — szepnął, obejrzawszy się na sąsiedni pokój, w którym zaszła scena mordu. — I sam nie wiem, czego — rozmyślał dalej — i nie umiem sobie wytłómaczyć mojego niepokoju. Sędziowie obaj są zadowoleni, ale ja nie, jak gdybym był winien...

Tu otworzył okno, chcąc zaczerpnąć świeżego powietrza i wychyliwszy się, spojrzał na tereny golfowe przed sobą, na sosny po obu stronach i wkońcu spojrzał na dół.

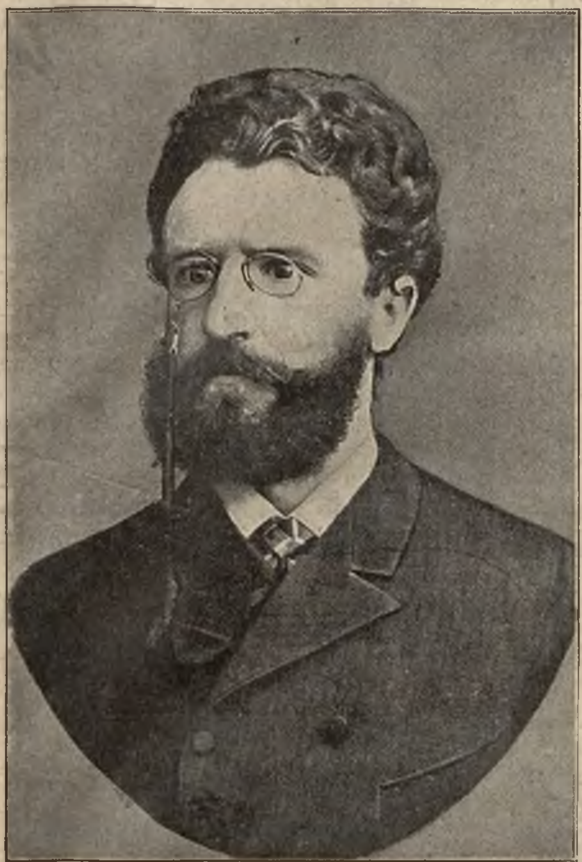
Drgnął i wychylił się bardziej. Co to tam widać wśród gałęzi dzikiego wina, o piętro niżej, tuż pod oknem. Trzeba się przekonać. Coś zaświeciło, coś, co tylko wypadając z tego okna, mogło się tam dostać. Nie mógł tego dosięgnąć ręką; trzeba będzie dostać się tam z dołu. I to nie będzie trudno...

Z tym zamiarem wypadł z pokoju. Za chwilę już był pod oknem. Wspinał się, wdrapywał się, czepiał się gałęzi, aż się tam dostał; odnalazł splot gałązek, tworzący jak gdyby gniazdo, widoczny z góry; zapuścił palec w głąb, wyciągnął mały przedmiot i wydawszy lekki okrzyk zdziwienia, spuścił się na dół, gdzie kilku ludzi, zwęszywszy coś ciekawego, czekało już na rezultat.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon znakomitego geografa.

Nauka polska ciężką poniosła stratę. W Warszawie zmarł 29 stycznia, przeżywszy lat 58, Wacław Nałkowski, jeden z najznakomitszych geografów



Zgon znakomitego geografa: Ś. p. Wacław Nałkowski.

współczesnych, nietylko u nas, ale i w świecie całym.

Urodził się ś. p. Nałkowski w Nowodworze na Podlasiu, gimnazyum kończył w Lublinie, studya uniwersyteckie w Petersburgu, Krakowie wreszcie w Lipsku, poczem osiadłszy w Warszawie, poświęcił się nauczycielstwu prywatnemu i wykładał geografię. Równocześnie oddał się pracy naukowej, a owocem jej był szereg dzieł, z których na szczególniejsze wymienienie zasługuje: „Zarys geografii powszechnej rozumowej“, książka naprawdę ciekawa i interesująca nawet dla niespecyalisty, tem ciekawsza, że nie mająca w sobie ani śladu owego suchego przeładowania materyałem cyfr i faktów jakiem dotychczasowe podręczniki w tej dziedzinie odznaczały się i — odstraszały. Nowością w niej był system wykładu, oparty ściśle na wiedzy przyrodniczej, wysuwający całą naukę o ziemi z pojęcia nierozerwalnego i przyczynowego między fizycznem podłożem i otoczeniem człowieka, a rozwojem i kierunkiem jego zbiorowego życia.

W chwili gdy książka Nałkowskiego się ukazała — pogląd taki na naukę geografii był nowym i zgoła niesłychanym, dziś w całym świecie przyjęty jest i stosowany. Sp. Nałkowski jest jego twórcą.

Poza tą książką ukazał się cały szereg dzieł Nałkowskiego z dziedziny geografii, oraz mnóstwo artykułów jego pióra, jużto w peryodycznych wydawnictwach naukowych, takich jak: „Wielka encyklopedya illustrowana“, „Wisła“ i t. d., już też w tygodnikach postępowych warszawskich.

Ta ostatnia, publicystyczna działalność nie zjednała śp. Nałkowskiemu przyjaciół i wielu przykrości w życiu była przyczyną... Zbyt śmiałym był może, zbyt może otwartym. W każdym razie za życia miał wrogów wielu — i to sprawiło, że w wirze walki zasługi jego naukowe nie były ocenione tak, jakby należało. Dziś, gdy go śmierć z szeregów codziennych szermierzy zabrała, nadszedł chyba czas najwyższy należytego zasług tych ocenienia i uznania.

Otwarcie inspektoratu pocztowego w Krakowie.

Donosiliśmy w swoim czasie o utworzeniu w Krakowie inspektoratu pocztowego, powołanego do życia na skutek wielokrotnie wyrażanych żądań ze strony sfer przemysłowych i handlowych, prasy i szerokich kół publiczności. Inspektorat ten jest powołany do nadzorowania i popierania we wszystkich kierunkach służby pocztowej, telegraficznej i te-



Otwarcie inspektoratu pocztowego w Krakowie: Komisarz poczt Aleksander Stroka, zastępca inspektora.

lefonicznej w przydzielonych mu urzędach, do czuwania nad prawidłową manipulacyą pieniężną, ma



Otwarcie inspektoratu pocztowego w Krakowie: Uczestnicy uroczystego otwarcia inspektoratu pocztowego w Krakowie; siedzą od lewej ku prawej: radca ministeryalny Posch, prezydent m. Krakowa dr. Leo, generalny dyrektor poczt, szef sekcyi dr. Wagner, prezydent dyrekcyi poczt we Lwowie Wooaterni i radca ministeryalny Hoffer; stoją od lewej ku prawej: wiceprezydent Izby handlowej i przemysłowej, poseł J. K. Federowicz, koncepista ministeryalny Jonak, radca poczt. dr. Jakesch ze Lwowa, szef inspektoratu w Krakowie, radca dworu Biliński, poseł do rady państwa dr. Gross i poseł sejmowy, dyrektor dr. E. Bandrowski.



Zaburzenia uniwersyteckie we Lwowie: Demonstracya strajkującej młodzieży przed gmachem politechniki.

dalej obok wykonywania kontroli udzielać wszędzie potrzebnych pouczeń i wskazówek, informować dyrekcyę we Lwowie, jako władzę przełożoną, o potrzebach wszelkich kategoryi służby pocztowej, wreszcie przez wydawanie bezpośrednich zarządzeń na miejscu, przyczyniać się do uproszczenia i przyspieszenia toku służby.

Szefem inspektoratu mianowany został dotychczasowy dyrektor krakowskiego urzędu pocztowego, radca dworu Maryan Biliński; do zakresu jego władzy na nowem stanowisku należy czuwanie nad należytem funkcyonowaniem ruchu pocztowo-telegraficznego we wszystkich urzędach, podległych inspektoratowi, badanie wszelkich usterek i nieprawidłowości, które dojdą do jego wiadomości, oraz dążenie do usunięcia wszelkich braków w tym zakresie.

Nowy urząd wszedł w życie z dniem 1 lutego, a na otwarcie przybyli z Wiednia jeneralny dyrektor poczt, szef sekcyi dr. Wagner, radcy ministeryalni Posch i Hoffer oraz koncepista Jonak, ze Lwowa zaś prezydent dyrekcyi pocztowej Ryszard Wopaterni i radca pocztowy dr. Jakesch.

W dniu otwarcia zebrali się przybyli z Wiednia i Lwowa dygnitarze w biurze dyrektora poczty, gdzie oczekiwał ich już szef inspektoratu, radca dworu Biliński, nowy dyrektor urzędu pocztowego, naczelnicy sekcyi telegrafu i telefonu, oraz naczelnicy wszystkich eraryalnych urzędów pocztowych z okręgu inspektoratu. Wprowadzenia w życie nowego urzędu dokonał szef sekcyi dr. Wagner, poczem przemawiali inni dygnitarze, omawiając znaczenie inspektoratu i życząc jaknajpiękniejszego rozwoju nowemu urzędowi.

Po uroczystości otwarcia goście z Wiednia i Lwowa złożyli wizytę prezydentowi miasta Krakowa, dr. Leo, poczem udali się do Starego teatru, gdzie odbyło się śniadanie, zastawione przez gminę m. Krakowa. Rolę gospodarzy pełniło prezydyum miasta z prezydentem dr. Leo na czele, obecni zaś byli prócz gości posłowie sejmowi i do rady państwa, przedstawiciele izby handlowej i przemysłowej, dyrekcyi kolei państwowych, grono radców miejskich, wreszcie przedstawiciele sfer kupieckich i przemysłowych. Wśród przemówień i toastów spędzono mile dłuższy czas.

Wieczorem podejmowała gości bankietem w sali Grand-Hotelu izba handlowa i przemysłowa. Na zakończenie udali się uczestnicy zebrania na bal maskowy w resursie urzędniczej, gdzie powitał ich komitet balowy.

Wspomnieć jeszcze należy, że zastępcą radcy dworu Bilińskiego w urzędzie szefa inspektoratu mianowany został komisarz dyrekcyi pocztowej, Aleksander Stroka, który również w tych dniach objął urzędowanie w Krakowie.

Zaburzenia uniwersyteckie we Lwowie.

Zajścia na wszechnicy Jagiellońskiej, zajścia niewątpliwie smutne, zwłaszcza że jako konsekwencye przyniosły ze sobą interwencyę policyi a nawet wojska, wreszcie zaś zawieszenie na dłuższy czas wykładów i wstrzymanie normalnego toku życia uniwersyteckiego, odezwały się głośnem — i to w dosłownem znaczeniu — echem wśród młodzieży akademickiej i technickiej we Lwowie.

Nie było to niespodzianką, gdyż już w czasie śledztwa dyscyplinarnego, wytoczonego uczestnikom demonstracyi przeciw prof. ks. Zimmermannowi, studenci lwowscy zapowiadali, że w razie, gdyby senat krakowski skazał choćby część demonstrantów i gdyby młodzież krakowska z tego powodu podjęła strajk, to i oni zamanifestują swą solidarność z kolegami krakowskimi i urządzą strajk zarówno na uniwersytecie, jak na politechnice. Hasło manifestacyjnego strajku podjęła przedewszystkiem młodzież postępowa, a przyłączyli się do niej oczywiście syoniści i Rusini, bo tym z natury rzeczy na rękę są wszelkie awantury w murach uniwersytetu lwowskiego. Natomiast młodzież demokratyczno-narodowa, która we Lwowie stanowi bardzo liczną i solidarnie trzymającą się grupę, postanowiła nie dopuścić do wstrzymania wykładów i choćby przemocą odeprzeć ataki młodzieży t. zw. postępowej, gdyby ta chciała wykłady uniemożliwić.

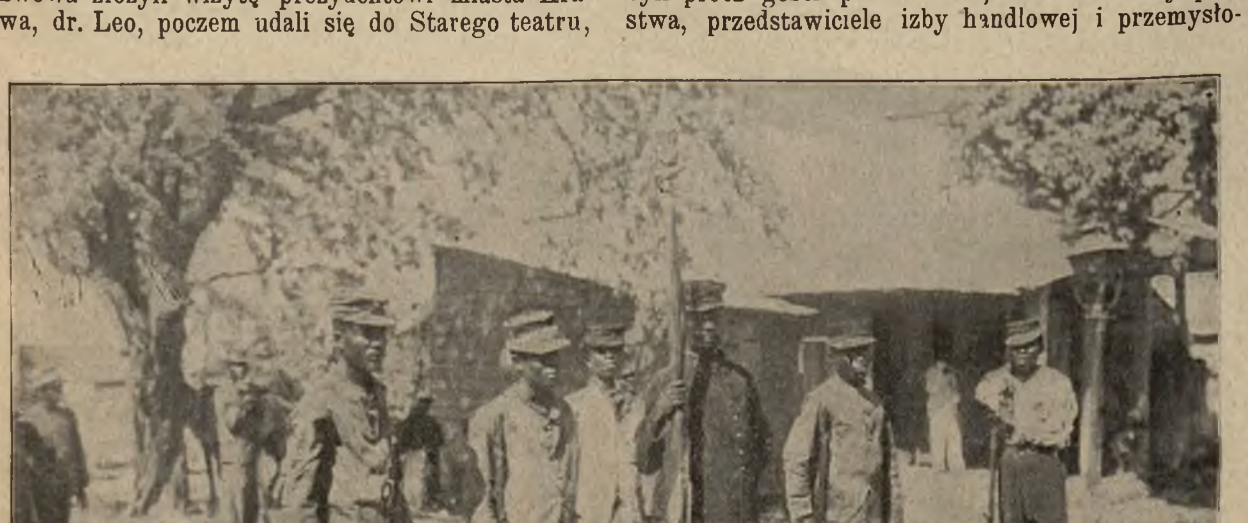


W przededniu egzotycznej wojny: Prezydent republiki Haiti gen. Simons i jego oficerowie przyboczni.

Na politechnice zaś sprawa ułożyła się prościej, gdyż tam młodzież jest bardziej jednolita i strajk, ogłoszony przez postępowców, miał zapewnione powodzenie.

Jasna rzecz, że w tych warunkach, zwłaszcza wobec znanego temperamentu młodzieży lwowskiej, musiało przyjść i we Lwowie do awanturniczych zajść, nie przypuszczano tylko, że przybiorą one tak ogromne rozmiary, bodaj że większe niż w Krakowie, choć właściwie Lwów nie był sprawą wykładów ks. Zimmermanna ani konsekwencyami wyroku senackiego bezpośrednio interesowany.

Zaraz na pierwszą wieść o zaburzeniach w Krakowie, zwołano we Lwowie wiec ogólno-akademicki do westybulu politechniki, celem zajęcia stanowiska wobec wypadków na wszechnicy Jagiellońskiej. Już na wstępie okazało się, że młodzież akademicka we Lwowie, podobnie jak w Krakowie, rozmaicie zapatruje się na tę sprawę i że część oświadcza się za



W przededniu egzotycznej wojny: Sztandar republiki Haiti i gwardya honorowa.

solidarnością z kolegami krakowskimi t. j. za urządzeniem strajku, część zaś — co prawda mniejsza — z pod tej solidarności chce się wyłamać. Ostatecznie uchwalono znaczną większością głosów zaprotestować przeciw wypadkom krakowskim przez wstrzymanie się od uczęszczania na wykłady zarówno na uniwersytecie jak na pol technice.

W wykonaniu tej uchwały część uczestników wiecu zajęła się zaraz zerwaniem wykładów na politechnice, reszta zaś ruszyła pochodem ku uniwersytetowi, aby i tam uniemożliwić wykłady. Tymczasem młodzież demokratyczno-narodowa usadowiła się już w gmachu uniwersyteckim, postanawiając nie dopuścić zwolenników strajku do wnętrza gmachu. Na pomoc pospieszyła też policya, która zajęła stanowisko tuż obok uniwersytetu, by w razie potrzeby wkroczyć i zapobiec awanturom.

„Igraszki“ przed gmachem uniwersytetu trwały do wieczora, żadna bowiem ze stron nie chciała ustąpić. Wreszcie zajęła się policya odparciem atakujących bez przerwy gmach uniwersytetu zwolenników strajku.

Następnego dnia rano panował spokój na wszechnicy, dopiero w godzinach przedpołudniowych poczęły się zaburzenia, najpoważniejsze w instytucie medycznym, gdzie nawet doszło do namiętnej bójki na laski między zwolennikami strajku a jego przeciwnikami.

Natomiast na politechnice spokoju w tym dniu nie zakłócono — gdyż tam z powodu zajść z poprzedniego dnia wykłady zawieszono.



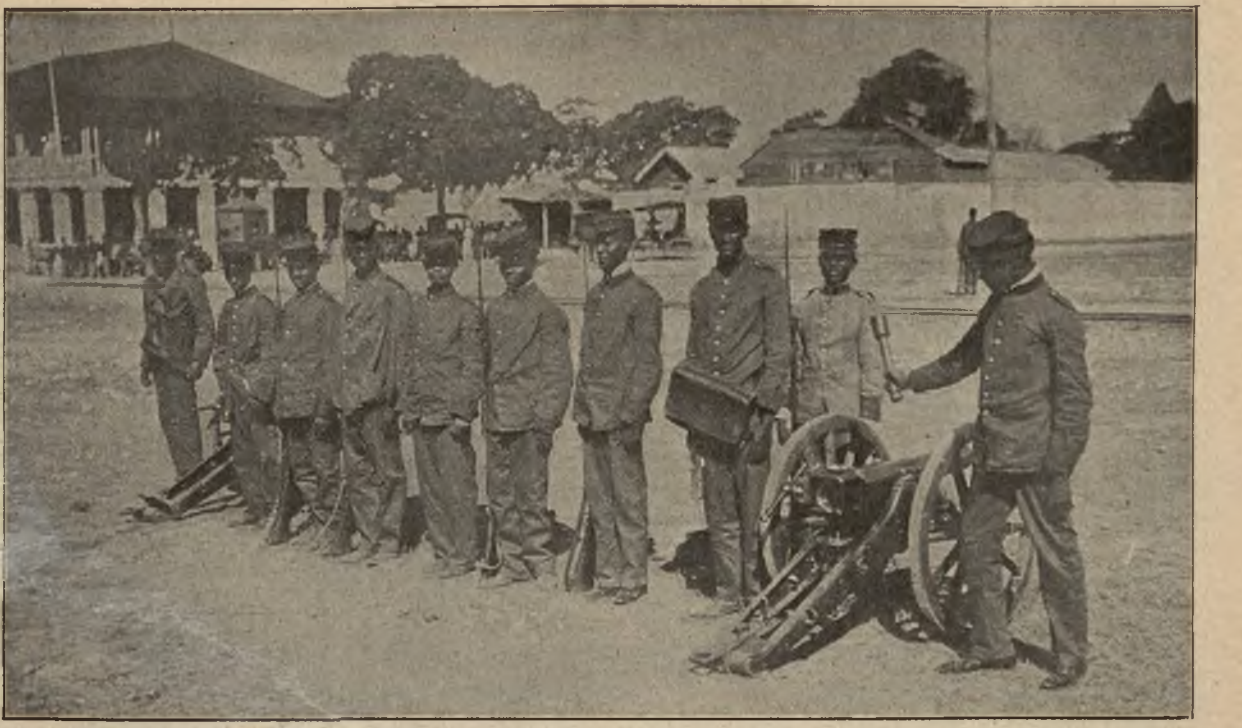
Zaburzenia uniwersyteckie we Lwowie: Sprawdzanie legitymacyi akademickich przez policyę.

Dalszy ciąg strajku akademickiego we Lwowie miał przebieg zupełnie już spokojny. U wejścia bowiem na uniwersytet zajęła stanowisko policya, która rewidowała legitymacye słuchaczów, w gmachu zaś urzędował dyrektor kancelaryi dr. Jordan, sprawdzając legitymacye i indeksy i dopuszczał tylko tych słuchaczów, którzy o danej godzinie mieli wykłady. Zresztą zaś nikogo nie wpuszczano, co też okazało się bardzo skutecznym środkiem.

W ten sposób zwolennicy strajku, choć teoretycznie mieli większość, musieli zrezygnować z przeprowadzenia swych zamiarów i ustąpić wobec kategorycznego stanowiska młodzieży demokratyczno-narodowej, senatu i policyi. Nic dziwnego też, że za tym faktycznym stanem rzeczy poszła i uchwała młodzieży strajkującej, która na wiecu w „Gwieździe“ postanowiła wobec „zmienionej sytuacyi“ w Krakowie i Lwowie zawiesić — ale już nie wykłady, lecz strajk.

Po czteru więc dniach niepokojów i zamieszek powrócił spokój i na uniwersytecie i na politechnice we Lwowie, wspomnieniem zaś awanturniczych zajść są nasze zdjęcia, zamieszczone w dzisiejszym numerze.

W przededniu egzotycznej wojny.



W przededniu egzotycznej wojny: Artylerya republiki Haiti.

Wśród burzliwych i burzących się, a zatargi swe lubiących kończyć „w morzu krwi“ republiczek amerykańskich, nie najpośledniejsze zajmują pod tym względem miejsce dwa państewka, jedno murzyńskie, mulackie drugie. Haiti i San Domingo.

Położone na jednej z najcudniejszych wysp świata, na Haiti, ongiś przez Kolumba odkrytej, a zwanej dla bajecznej roślinności „ogrodem Indyi zachodnich“, od lat usilnych dokładają starań, by jak najkrwawszą zdobyć sobie opinię. Wyspa Haiti od samych początków a raczej od chwili odkrycia bywała widownią częstych rzezi. Gdy wytępiono pierwotnych jej mieszkańców karaibskiego pochodzenia, skolonizowano wyspę murzynami, spokojnymi zrazu aż do rewolucyi francuskiej. Wybuch rewolucyi w Paryżu rozpętał niebezpieczne żywioły murzyńskie na Haiti. Rozpoczęły się krwawe walki rewolucyjne, a raczej rzezie i mordy na całej wyspie, przerywane chwilami wytchnienia tylko wtedy, gdy któremuś z uzurpatorów murzyńskich udało się na lat parę ogłosić cesarzem, królem, czy prezydentem. Ale zwykle uzurpator ginął zamordowany i od nowa zaczynała się wojna wszystkich przeciw wszystkim.

Że jednak wszystko, tembardziej zaś krwawe mordy, koniec swój mieć muszą, więc też i tych rewolucyi epilogiem było utworzenie się ostatecznie takiego stanu na wyspie, że została podzieloną na dwa odrębne terytorya, dwie republiki. Na zachodzie utworzyła się rzeczpospolita Haiti, na wschodzie republika San Domingo.

Terytoryalnie mniejsza, przewyższa jednak Haiti sąsiadkę swoją ilością ludności, wynoszącą w przybliżeniu około milion, w czem dziewięć dziesiątych murzynów, mówiących po francusku, reszta białych. Na czele rządu stoi prezydent, co lat 7 wybierany. Stan oświaty dość niski, a rolnictwo jest głównem zatrudnieniem mieszkańców. Przemysł prawie że nie istnieje. Armia liczy 6.828 żołnierzy, a „flota wojenna“ składa się z 5 okrętów. Tak armia jak i flota stoją na poziomie wystarczającym dla walk wewnętrznych, uspakajania zbyt burzliwych obywateli, bądź do grożenia wojną „państwu ościennemu“, jedynemu, jakie w sprawie „konfliktu zbrojnego“ może być branem w rachubę.

Państwem tem jest republika San Domingo, licząca zaledwie pół miliona mieszkańców, przeważnie mulatów, wyróżniających się korzystnie oświatą, dość



W przededniu egzotycznej wojny: Rewia wojsk republiki Haiti.

wysoko stojącą. Od r. 1865, gdy Hiszpanie, dawni władcy San Domingo, zmuszeni zostali wyspę opuścić, kraik ten stanowi niepodległą rzeczpospolitą, na czele której stoi prezydent, 6 ministrów i kongres, złożony z 22 członków. Armia i flota dorównywa sile zbrojnej sąsiadki i wzorem państw euro-



Zaburzenia uniwersyteckie we Lwowie: Pogotowie policyi obok uniwersytetu.

pejskich w miarę wzrostu wojsk Haiti, San Domingo powiększa swe zastępy.

Skutkiem tego i na całej wyspie antylskiej panuje „zbrojny pokój", wśród którego łatwo jednak z lada powodu o groźbę konfliktu, na tle naprzykład granicznem.

Tak stało się właśnie teraz. San Domingo przystąpiło do budowy drogi wojskowej na terytoryum dotychczas spornem. Haiti zaprotestowało i wysłało wojsko na miejsce zatargu, gdzie zastano już odpowiednio silną armię przeciwnika. Wobec tego prezydent republiki Haiti zaproponował oddanie zatargu do rozstrzygnięcia sądowi rozjemczemu. Pomimo to jednak obie „armie" stoją naprzeciw siebie w groźnem pogotowiu i lada dzień grozi wybuch wojny, która choć niewątpliwie byłaby krwawa, to jednak dzięki miniaturowym swym rozmiarom wywołałaby efekt raczej operetkowy niż tragiczny.

Po wyborze do Instytutu Francuskiego.

W dniu 23 stycznia b. r. odbył się w Paryżu wybór członka tamtejszej Akademii Nauk Scisłych. Na fotel, opróżniony przez zgon Gerneza, zaproponowano na pierwszem miejscu rodaczkę naszą, panią Curie Skłodowską, na drugiem zaś, lecz równorzędnem, pp. Daniela Berthelota, Branly'ego, Braccę, Cottona i Peireta. Agitacya była nader ożywiona. Pierwotnie chodziło o to, czy kobieta może wejść w szeregi nieśmiertelnych, gdy zaś usunięto wszelkie wątpliwości, dawne bowiem dekrety wzbraniają niewiastom nawet wstępu na galeryę podczas posiedzeń Akademii, wytoczono cały arsenał innych przekonywujących dowodów, między którymi nie brakło także i motywów politycznych. Twierdzono, że zwolennicy kandydatury kobiecej dlatego tylko tak energicznie popierają myśl powołania pani Curie-Skłodowskiej w szeregi „nieśmiertelnych", ponieważ zależy im na „utrąceniu" Branly'ego, który był pierwotnie profesorem Sorbony, a następnie przeszedł stamtąd do Uniwersytetu katolickiego.

Rezultat głosowania jest znany. Głosowano dwa razy, za drugim dwadzieścia ośm głosów otrzymała p. Skłodowska, trzydzieści p. Branly, który też obrany został członkiem Akademii Nauk.

Wybór nowego „nieśmiertelnego" wywołał w całym naukowym świecie i w prasie bardzo silne wrażenie a w kołach zwolenników ruchu feministycznego łatwo zrozumiałą depresyę. Dzienniki tłómaczą wprawdzie, że fakt, iż p. Curie-Skłodowska pozostała w mniejszości, jest zupełnie naturalny, bo jej współzawodnik jest o dwadzieścia jeden lat od niej starszy i już po raz trzeci przedstawia się jako kandydat do Akademii, dotąd zaś uchodzi prawie za zwyczaj, że bardzo rzadko ktoś przy pierwszej prezentacyi zostaje wybrany. Przy dwu ostatnich wyborach po śmierci Henryka Becquerela i Mascarta otrzymał Branly zrazu ośm, przy drugim ośmnaście głosów.

Branly wziął znaczny udział w ulepszeniu telegrafu bez drutu wynajdując tak zwanego rado-konduktora, stanowiącego główną część składową przyrządów do telegrafii iskrowej. Mimo to, jak twierdzą dzienniki paryskie, nie miał dotąd szczęścia i dlatego dotąd nie osiągnął takich widomych dowodów uznania, na jakie sobie zasłużył. Gdy z fundacyi Nobla przyznano nagrodę twórcom telegrafu bez drutu, Branly wyszedł z próżnemi rękami, pono dlatego, iż Akademia paryska nie wyraziła co do niego żadnych życzeń. To też aby naprawić błąd, poważne dzienniki wyraziły przed wyborem opinię, że należy Branly'emu wynagrodzić niejako krzywdę, jaką mu poprzednio wyrządzono i tem też tłómaczyć się powinno jego obecne zwycięstwo. Jeden z wybitnych fizyków, d'Ardonval, oświadczył w interwiewie między innemi:

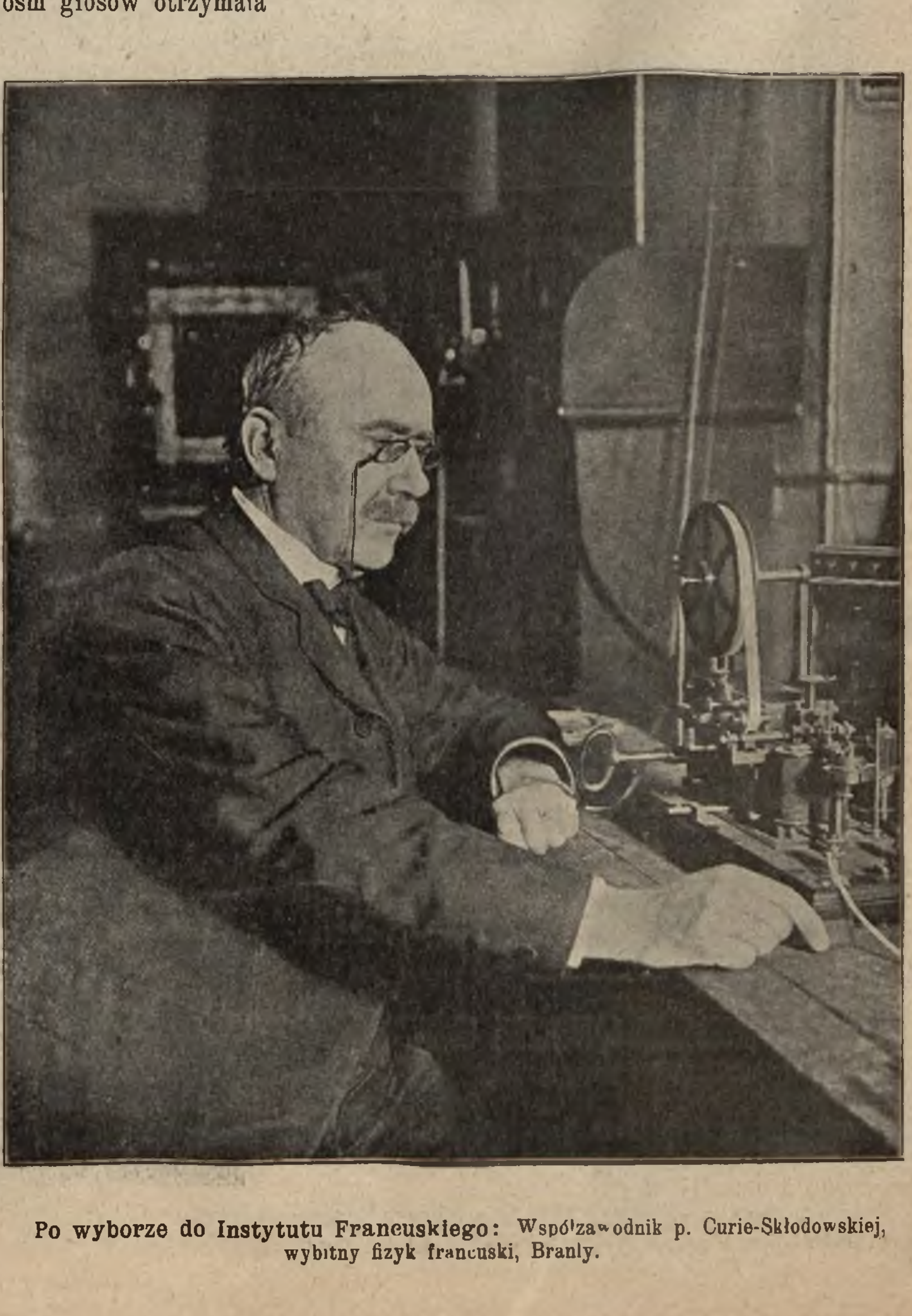
„Obowiązkiem naukowym i patryotycznym jest głosować za Branlym. Jest on ojcem telegrafu bez drutu. Niewłaściwie przypisuje mu się tylko wynalezienie „koherera" czyli t. zw. rurki Branly'ego. Nie darmo Marconi wysłał pierwszą wogóle depeszę bez drutu do Branly'ego!"

I rzeczywiście wywody te zdołały przekonać „nieśmiertelnych"!

Ponadto podniesiono w pismach paryskich, że p. Curie Skłodowska osiągnęła już za swe prace, przedsiębrane razem z mężem i z p. Dubierre rozmaite odznaczenia, jak n. p. profesurę w Sorbonie, legię honorową, połowę nagrody Nobla i wiele innych.



Zaburzenia uniwersyteckie we Lwowie: „Wkroczenie" strajkujących studentów do instytutu medycznego.



Po wyborze do Instytutu Francuskiego: Współzawodnik p. Curie-Skłodowskiej, wybitny fizyk francuski, Branly.

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

15

— Szczęśliwy, kto z rąk pani to godło odbierze.

Pani Marchocka, w odpowiedzi ułamała gałązeczkę laurusu i podała Bemowi.

— To za Ostrołękę i nie za nią... tylko...

— Nie zasłużyłem na tyle dobroci...

— Czynisz zaszczyt, pułkowniku, tym krzaczkom, nie spodziały się takiego honoru. Od tej chwili dopiero stają się wawrzynem.

— Napróżno usiłowałbym sprostać pani w zgrabności wysłowienia.

— Jedynie dlatego, że ostoją życia twego jest czyn! Takich zaś jak ja samotnic są słowa i tęsknoty daremne.

— Poglądając na panią, trudno uwierzyć, by każda z twych tęsknot nie musiała być ziszczeniem.

— Tak przypuszczasz, pułkowniku?

Oczy Bema spotkały się z rozmarzonem spojrzeniem pani Marchockiej.

— Jestem głęboko przeświadczony, pani kapitanowo...

— Nie nazywaj mnie, proszę, kapitanową! — odrzekła smętnie. — Nie mam ani ochoty, ani prawa do tej godności. A przytem — dodała żartobliwie — nie wystarczała mi podobno od pierwszej chwili.

— Ambicya pani...

— Ambicya moja szukała serca.

Rozmowa urwała się. Piękna twarz pani Marchockiej zasnuła się chmurkami. Pułkownik milczał, nie starając się nawet o wątek nowy dla ozwania się. Był upojony. Szła obok niego tuż rozwiewna, szeleszcząca, zlekka na ramieniu jego pochylona. Długie jej rzęsy drżały w promieniach bijącego w okno, przez gąszcze zarośli, słońca. Przejrzysta materya chwiała się kornie na falującem łonie.

Szła a płynęła. Odgłos jej kroków ginął w brząkaniu ostróg pułkownika.

— Ach! nie ma tego nudziarza! — rozległ się głosik pani Marchockiej!

Bem drgnął mimowolnie, jakby ze snu się zbudził.

— Nie ma go — przytwierdził machinalnie.

Pani Marchocka wskazała pułkownikowi na wyrwane w rogu parku opłotki.

— Tędy uciekła. — Widzi pan, są jeszcze ślady. Nie uwierzy pułkownik, ile dałabym, aby ją pojmano. I nie idzie mi o ukaranie... Ach raczej nagrodzić bym ją gotowa...

— A ja stokroć sowiciej, bo inaczej nie danem by mi było poznać najpiękniejszej z dobrodziejek.

— Jest pan wartkim w komplemencie, nie bacząc, że komplement bywa zdradliwym...

— Prawdę szczerą...

Pani Marchocka objęła pułkownika powłóczystem spojrzeniem i uśmiechnęła się.

— Z całą skwapliwością deklaruję więc, że gdybym posądzała niewdzięcznicę o tak brzydki rodowód, cha, to kto wie, czy samabym jej do ucieczki nie namówiła...

— A ja wykradłbym ją niechybnie...

Liczko pani Marchockiej spoważniało raptem.

— Zapominamy jednak w samolubstwie o sprawie publicznej. Czy istotnie są dowody na pomówienie tego biedactwa?

— Niezbite nawet. Krótko mówiąc, w łachmanach dziewczyny znaleziono listy a między nimi pismo, będące najwyraźniejszą instrukcyą dla szpiega.

— I nie wiadomo, do kogo adresowane?

— Instrukcya owa nosi jeno jakoweś znaki i nieczytelne inicyały.

— A listy? — pytała od niechcenia pani Marchocka.

— Listy są opatrzone nazwiskami.

— Ach, więc z łatwością przyjdzie ująć niegodziwców! Byle dość energicznie wzięto się na policyi.

— Hm, nie wiem. Jest to raczej rzeczą rządu a kto wie, czy nie sztabu.

— Więc nie dano znać do ratusza?

— Nie sądzę. Obowiązek nakazywał mi złożyć raport wodzowi naczelnemu.

— Wyobrażam sobie uczucie odrazy, które musiało przejąć pana, gdy dotykał tych haniebnych papierów! To straszne! Pomyśleć, że w momencie gdy cały naród!... Myśleć o tem niepodobna! I nazwiska są znane na listach...

— Jedno tak, dwa inne mniej, chociaż trudno orzec, zakrawają, według mnie, na sieci... Lecz brak mi odpowiedzi. Czytałem ten, który nie był zapieczętowany.

— Więc pułkownik czytał! Ach, nie ważyłabym się spojrzeć. Śmiej się pan! Nie — nie! Za nic!

— Szlachetny wstręt!

— Lecz to już słońce ku zachodowi się skłania. Anim się spodziała. A tam Marynia Sałacka pewno już wszystkie altanki obleciała.

— Sałacka? — powtórzył przeciągle Bem, uderzony tem nazwiskiem.

— Córka generała inżenierów. Bardzo miła panna. A sentymentalna i nieszczęśliwa. Opowiem kiedy pułkownikowi. Będzie i generał. Jemuby opowiedzieć o tej szpiegowskiej historyi! Toż byś go ucieszył. Co kroku widzi zdrajcę. Dzielny, poczciwy człowiek, choć niedalekiego lotu. A naszego nudziarza, jak nie ma, tak nie ma. Pułkownik dawno z Sikorskim w przyjacielstwie?

— Z panem Sikorskim? Nie mogę powiedzieć...

— Ani ja! — Znam go od tygodnia.

— A ja od wczoraj!

Pani Marchocka parsknęła serdecznym śmiechem.

— Cha cha-cha! A toś mnie pułkownik zakasował! Cha-cha-cha! Paradne skojarzenie! — Spotkałam go akurat temu tydzień u majorowej Krasnodębskiej.

— A pani zna Krasnodębską?

Pani Marchocka potrząsnęła główką domyślnie.

— Jakby to pułkownikowi wypowiedzieć. Helenkę pamiętam jeszcze z klasztoru. Była starszą nademnie, lecz wiele okazywała mi. Po tem, co zaszło, — nie powinnam, stanowczo nie powinnam.

— Hurtig!

— Otóż właśnie! Ale i major wiele, wiele bardzo zawinił. Więc poprostu przez litość, raz do roku, aby się miała wypłakać przed kim. U niej zatem spotkałam Sikorskiego. I ten, jak go pułkownik znasz, z honorami do mnie, uprzejmościami. Powiem nawet, że gdy się zjawił u mnie z siurpryzą, zamierzałam go zbyć. Potulna postać owej nibyto sierotki pomiarkowała mnie nieco ale przekonało dopiero imię pana pułkownika!

— Pani!

— A od dziś dopiero dla Sikorskiego nabrałam życzliwości... Ucieszna figura, zakazana, lecz poczciwa niezawodnie! Gospodaruje tu, jak u siebie.

— Tyle mu winienem, iż ośmielam się błagać dłoń o przebaczenie.

— I ma je zupełnie i za to, że nas nie nudził.

Z poza klombu bzów wysunęła się naprzeciw idącym dorodna, choć może zbyt opiekła blondynka.

Pani Marchocka powitała ją żwawym okrzykiem.

— Miałam przeczucie! Jesteś Marysiu! Pozwól, że ci sprezentuję, pułkownik Bem. — Panna Sałacka. I dawno, dawno?...

— Cały ogród schodziłam. Jest i tatuś!

— Ach, nie wiem, jak się wytłómaczyć! Ale to nie moja wina! Pułkownik odpowie przed generałem.

— Nawet przed sądem polowym!

Pani Marchocka rzuciła Bemowi powłóczyste spojrzenie.

— Trzymam za słowo! — Idźmy, idźmy! Ale, wiesz, przepadł nam Sikorski!

— Nieszkodliwie — zaśmiała się chropowato panna Sałacka — zabawia niewolnicę...

— Ach więc i pani Nadzieja! — wykrzyknęła gospodyni i już nie czekając na Bema i Sałacką wyrwała się naprzód i tak, że gdy pułkownik stanął na progu saloniku, pani Marchocka już ozwała się doń żartobliwie.

— Proszę pułkownika, nadewszystko przedstawić cię muszę najweselszej z naszych niewolnic.

Bem skłonił się niewielkiej a korpulentnej osóbce o spiczastym, zadartym nosku.

— Pani Bażanow! — dodała gospodyni domu.

Pułkownik rozwarł szeroko oczy. Pani Marchocka, jakby nie spostrzegła zdumienia, które się na twarzy Bema zarysowało i poprowadziła go ku generałowi.

Ceglaste oblicze Sałackiego rozpromieniało.

— To sobie dobre! Pułkownik Bem! To sobie dobre! Pamiętam, znam, pod ten... pamiętam! Ho ho! To sobie dobre! Inżeniery z artyleryą jedna broń.

Pułkownik wszczął obojętną rozmowę z generałem. Sikorski zabawiał panią Bażanow. Pani Marchocka z panną Sałacką zniknęły na kilka minut, zakrzątnęły się i zaprosiły do podwieczorku w altance z lewej strony dworku.

Tu, przy kawie, wszczęła się dość ożywiona pogadanka, w której atoli Bem nie brał prawie udziału, ileże pomimo wysiłku nie mógł odpędzić myśli o tem, że owa szpiegowska posyłka zawierała listy, adresowane do panny Sałackiej i do pani Bażanow. Napróżno pułkownik starał się wytłómaczyć sobie, że listy te mogły dotyczeć i dotyczyły bezwątpienia zgoła innych osób, że córka generała i ruchliwa, a chichocząca wciąż jego sąsiadka nie miały nic wspólnego, krom nazwiska, z osobami, na które padał tak ponury cień, — wyzbyć się myśli o tem nie mógł. Jedynie, gdy pani Marchocka zwracała się doń, pułkownik ożywał się nieco, lecz niebawem znów milkł.

Lecz ta niemowność pułkownika dokuczyła snać tak ruchliwej damie, jak pani Bażanow, bo zagadnęła nagle Bema:

— A cóż tam pułkownik mniema o wojnie?

— Trudna odpowiedź.

— Ma się rozumieć! — podjął z boku generał. — To sobie dobre, jakże tu kalkulować, co, kiedy...

— Uch! generał przecież pół wieku w kancelaryi siedział! A pułkownik ot w samym kotle się parzył...

— Jakto mościa pani! — To sobie dobre, no tak, piętnaście lat szefowałem inżenierskiej rachunkowości... ale ten... pod tym, jakże mu, — w dwunastym, nie, w tym roku...

— Wiem, wiem i muchy generał nie zabił...

— Osobiście, to sobie dobre, jako generał inżenierów...

— Raporciki, papiereczki! Wiem! Przecież i mój Bazyli też przy pałaszu chodzi i pochwę pustą od pistoletu nosi i ostrogami dzwoni a jak mu strzelić kazałam na wiwat *pour son jour de noir*, całą niedzielę miał bicie serca!

— Za pozwoleniem, bywa to...

— Już go i pan pułkownik nie ustrzeli, choć sobie ze wszystkich armat! Jestem spokojna!

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

— Lecz to nie chroni małżonka jej — wmieszał się Sikorski — od innych strzałów, bardziej zabójczych, bo niewieścich!...

— Oho! A ze mną sprawa! Niech nie śmie, bo, jak się to mówi... Kuba Panu Bogu, Jakób do Michała...

— Cha-cha, — pozwól kochanie...

— *Pardon* Anetko — niech najpierw się dowiem od pułkownika! Dobrze mi w tej naszej niewoli, przyjaźnie, wesoło — ale ot niewola, jest niewolą. — Dajcie mi mówić! — Więc kiedy pułkownik sądzi, że skończy się wojowanie?

— Gdy wygrana przechyli się stanowczo na jedną lub na drugą stronę!

— Przechyli się! O już tyle miesięcy się chyli! Ot, pobilibyście się raz porządnie i pogodzili!

— Niema zgody! — ofuknął groźnie jenerał.

— Tatuś zawsze za wojowaniem. A przecież tyle już krwi przelano!

— Waćpanna nie masz tu rezolucyi! Żadnej zgody!...

— A pan pułkownik?

— Zależy od warunków zgody. Może być ona dla jednej strony klęską, dla drugiej wygraną.

— No tak, ale może być i prawdziwą zgodą — dowodziła pani Bażanow. — Kto się czubi, ten się lubi. Więc nie mówię, sama jestem generalską córką, — poczubić się dobrze a potem niech ten ustąpi i tamten niech ustąpi i zgoda sama się zrobi...

— Obawiam się — odrzekł Bem — że sprawa zaszła tak daleko, iż o ustępstwach dobrowolnych nie może być mowy.

— I słusznie, słusznie! — burczał generał. — Jeszcze jedna bitwa, jak pod tym... i to sobie dobre!

Panna Sałacka skrzywiła się. Pani Bażanow westchnęła z komiczną powagą.

— Uch! Więc proszę jeszcze o bułeczkę z miodem na osłodzenie niewoli.

— Bronimy się! — zauważyła melancholijnie pani Marchocka.

— I do ostatniego ładunku!

— Pan generał jest dokuczliwy!

— Nie pani dobrodziejko...

— Lecz sprawiedliwy! — dodał Sikorski. — Musimy do czasu, nie na rady i ten...

— Otóż, otóż właśnie...

Pani Bażanow spoważniała.

— Lekko wam mówić a iluż na tem cierpi! Byłam dziś u Brońcowej. Żal patrzeć! Siedzą na Zamku i sami nie wiedzą, w którą stronę patrzeć. Tu od księżny Łowickiej nie ma listu a tu pan Chłapowski wojuje i podobno atakował korpus Wielkiego Księcia. Rozdzielenie zupełne. I szczęście *sans doute* czego dobrego z kwatery ich wyproszą, bo komuż mają marszałkować? Kucharz generała Skrzyneckiego przymówił służącemu Brońcowej od szpiegów! Marszałkowa poskarżyła się, ale i nic z tego nie wyszło. A ileż razy *la foule la plus basse* wygrażała im pod oknami! Mówiłam Brońcowej, żeby się wyprowadziła! — Biedni, nieszczęśliwi...

— I nie tylko oni! — dodała panna Sałacka. — Ileż rodzin żyje w trwodze o najbliższych.

— Wojna, moje dziecko, to sobie dobre! Każdy ma kogoś...

— Nie o nich mówię! Są w wojsku polskiem.

Lecz, iluż poszło z korpusem litewskim, iluż zostało oderwanych od wszystkiego, co kochali, co wielbili...

— Choćby generał Jankowski! — ozwał się wódz augustowski — ma dwóch synów na nauce w Petersburgu. I od pół roku znaku życia! A tu zaraza, słychać, grasuje cięższa niż u nas...

— W nielepszem położeniu jest pan Mozenheim.

— *Pardon*, Anetko! A Nesselrode, a Eszakow, a Richter a biedny Dyakow?

— Panna Rymbarska, której ślub był naznaczony z kapitanem Jegorowem z kirasyerskiego pułku, dostała czarnej melankolii! — wtrąciła generałówna.

— Nie miała z czego! — burknął Sałacki.

— A nie generale — ujęła się pani Marchocka — serce bardzo często wypowiada posłuszeństwo zastanowieniu. Poryw jego nie zważa na względy, nawet patryotyczne, idzie na przeciwności za miłowaniem...

— Głupstwo wierutne! — zacietrzewił się Sałacki. — Imć Rymbarska nie ma za tynfa rozsądku. Pstro w głowie, to sobie dobre!

Generałówna pobladła, usta jej mocowały się z odruchowym skurczem. Pani Bażanow pokiwała smutnie głową. Gospodyni próbowała zatrzeć wrażenie gwałtowności Sałackiego.

— A pan, pułkowniku, czy równie surowym jesteś sędzią?

— Na sędziego się nie piszę. Słowa generała mam za przypomnienie obowiązku, że w tych czasach, każdy ma ofiarę do poniesienia, że jeden na ołtarzu musi złożyć życie, drugi serce, trzeci trwogę, inny majątek...

— Otóż i sprawiedliwie! — ucieszył się szczerze generał. — Każdy musi, a to sobie dobre! Jak, panie, Napoljon pod tym... wszyscy musieli!

Rozmowa, po tej konkluzyi generała, jęła toczyć się ospale. Pani Bażanow próbowała ożywić zebranie rozpowiadaniem historyi uciesznej bijatyki medyków Dworzaczka i Belangera. Pani Anna zagadywała o teatrze, o niezwykle poetycznej muzyce *Fra Diavola*. Sikorski prawił o przygotowaniach do bankietu gwardyi narodowej. A nuda i przymus, pomimo tylu rozlicznych tematów, nie dawała się wypędzić z altanki. Aż pani Marchocka, snać dla zajęcia innych gości, w kilku słowach przedstawiła generałowi i pani Bażanow przygodę Bema z cyganiątkiem.

Sałacki zakrzyknął z tryumfem. Pani Bażanow wzruszyła ramionami.

— Generał odrazu by ją wieszać kazał...

— A to sobie dobre! Listy, pisma, sztuczki...

— Listy, listy! Ucb, ważna rzecz. Takim szpiegiem więc ja pierwsza jestem, bo i ja pisuję listy...

Bem poruszył się niepewnie. Sikorski bawił się od niechcenia łyżeczką.

— Ależ tu nie o takich listach mowa.

— *Pardon*, Anetko. Nie wiadomo! Ot będzie temu cztery dni, jak wysłałam na Kraków listy do obozu Pahlen· Górska je zabrała.

— Gdyby mościa panią złapano!

— Zlitui się generale, nie do obcych żadnych, lecz do swoich, do najbliższych!

— Prawo wojenne! Żeby moje, moje rodzone dziecko — sąd i basta! Hę, co, pułkowniku...

— Tego rodzaju korespondencya jest zawsze niebezpieczna.

— W sednoś trafił! Zanim by mościa pani dowiodła, uczyniłoby się, jak pod tym... w roku, panie... „tymtam“... pluton, salwa i to sobie dobre! Trup!

— Przedstawiasz się generale sroższym, niż jesteś.

Sałacki posiniał.

— Rozkaz, stan oblężenia, wojna! Względy, są względy, ale niechby w moje ręce świstek bodaj! — Do kuma czyli do pociotka, do męża czyli do... do jakiegoś kirasyerskiego Adonisa — zdrada a na zdradę ołowianka!

Panna Sałacka pochyliła głowę i wybiegła z altanki. Generał bębnił z pasyą po stole. Sikorski z panią Bażanow wysunął się za generałówną, gospodyni domu po chwili rzuciła zdawkowe usprawiedliwienie i również podążyła do dworku.

Sałacki łypnął znacząco oczyma ku Bemowi.



Z poza klombu bzów wysunęła się dorodna, choć może zbyt opiekła blondynka.

— Masz pułkownik z babami! Dogadaj się! Listy sobie pisze do obozu! A tu szpieg na szpiegu.

Bem, któremu otwarta, szczera twarz Sałackiego coraz bardziej do serca przemawiała, odrzekł uspokajająco:

— Od pań nie podobna wymagać znajomości kodeksu wojennego!

— Myślisz, pułkownik! Gdybyś codzień, co godzina miał toż samo! Uf! Desperacya istna! A czyja wina? Krukowieckiego, rządu, Skrzyneckiego! Zamiast, to sobie dobre, w garści, krótko, ostro tak i tak, tego i tego, oni panie przez szpary. A tu taka chodzi samopas i dziewczynę mi bałamuci.

— Pani Bażanow po swojemu bierze wypadki.

— Rozstrzelać powinni! — wybuchnął generał, przyczem w głosie tak głębokie zabrzmiało przekonanie, że Bem nie wiedział, co odpowiedzieć.

Sałacki tymczasem, miast umitygować się, pomstować zaczął na dobre na oficerów korpusu litewskiego, którzy mieli okrutnie wiele złego rodzinom przyczynić, na niegodziwość panny Rymbarskiej, na śmieszność opiekowania się jeńcami, na sprzedawczyków, co czają się na każdym kroku na zgubę rewolucyi, na niewdzięczność dzieci i na całego świata przewrotność niezmierną.

Pułkownik słuchał, upatrywał daremnie wątku dla narzekań generała, chciał zmienić przedmiot rozmowy — napróżno. Sałackiego zmora wewnętrzna szarpała, gryzła. Pułkownika ogarnęło uczucie przygnębiającego zmęczenia.

Generał długo jeszcze rozwodził się a wyrzekał, aż wyściskawszy gorąco ręce Bema, jako jedynego człeka, który go zrozumiał, nacisnął furażerkę i boczną furtką, nie żegnając się z paniami, wysunął się z obejścia dworku pani Marchockiej.

Mrok cichego, pięknego wieczoru czerwcowego zapadał — już fiolety półcieniów wypełniły zakątki altanki a pułkownik trwał jeszcze zamyślony, jakby zasłuchany w echa ostatnich słów generała.

Naraz, krótki, nieśmiały apel słowika rozległ się w pobliżu.

Bem rozejrzał się dokoła, podniósł się i zafrasował, nie wiedząc, czyli mu należy iść za przykładem Sałackiego, czyli wypada czekać powrotu gospodyni.

Jakby w odpowiedzi na pytanie, kamuszczki na ścieżce zachrobotały, niby tchnieniem zefiru orzeźwione. Na progu altanki ukazała się smagła, biała postać.

— Pan pułkownik! Ach, Boże, Boże, doprawdy nie wiem, jak prosić o przebaczenie...

— Ja raczej winienem... Nadużyłem łaskawości... Nie chciałem bez hołdu należnego...

— A nie, nie, proszę tak nie mówić! Śmiałość moja wynikła z tego, że wydało mi się, że pan pułkownik jest dobrym, dobrym znajomym. Generał poszedł! Oryginał wielki. Marynia się rozchorowała...

— Panna Sałacka?

— Leży u mnie, biedaczka.

— Może to coś ciężkiego? Jestem gotów po lekarza!

— Niestety, pułkowniku, na jej cierpienie nie masz lekarstwa. Tragedya serca! Jedna z wielu dzisiaj tragedyi. Generał nic panu nie wspominał? — Ach, był dzisiaj w swej pasyi! Gdybym mogła przewidzieć, oszczędziłabym pułkownikowi przykrości! — Wiem, wiem! — Sałacki jest bezwzględny. — Marynia kocha... Ojciec dał właściwie swoje przyzwolenie. Kawaler do odny, adjutant przy sztabie generała Kuruty! — Wybuchła rewolucya! Generał w jednej chwili zmienił zdanie! Ani słuchać nie chce. Panna we łzach tonie! Cóż winna! A tu, co moment sceny bolesne, uwagi! — Rozumiem, stary żołnierzysko najpoczciwszemi rządzi się intencyami. Wojnę by pragnął mieć na wszystkich punktach! Nie sądź, bym pochwalała Marynię. Lecz nie każdemu daną jest moc spartańska. Ach nie sądź pułkowniku, bym ją bronić zamierzała! Stokroć razy nie. W głębi ducha przyznaję nawet słuszność ojcu i boleję, że w Maryni obowiązek, promień święty miłości ojczyzny nie zwyciężył sentymentu dla adjutanta Kuruty. Ale cóż, widząc jej niedolę, tęsknotę, łzy...

Bem kilku wyrazami akkomodował się do zdania pani Marchockiej i do jej rączki się pochylił.

— Do zbytku nadużyłem gościnności pani dobrodziejki...

— Jakto — jakto? — zdziwił się smętnie harmonijny głosik — a ja akurat wyprawiłam Sikorskiego, by panią Bażanow odprowadził! — Czy może służbowe sprawy?

— Nie służbowe, jeno, jeno... — plątał się Bem, czując, że mała, wypieszczona rączka pani Anny garnie się łaskawie do jego twardej, żylastej dłoni.

— Więc niech waćpan zostanie! — naprzykrzyła się ze słodkiem rozkapryszeniem pani Anna.

Pułkownik został.

Noc zapadła, noc szafirami nieba zdobna, mrugająca krociami gwiazd.

Dworek pani Marchockiej poglądał w ciemń parkową otwartemi naścieżaj drzwiami a bił przez nie strumieniem światła między klomby i zarośla, ku niemałemu poruszeniu ich skrzydlatych mieszkańców.

I trzepotały się spłoszone zięby, śmieciuchy i pliszki świergotały, wpółsenne skowronki, jaskółki wychylały swe łebki z gniazd a wróble na alarm niemal uderzyły. Aliści najsędziwszy pośród wróblej gromadki, drzemiący w zaciszu konarów ulęgałki, ocknął się, zaostrzył dzióba na gałązce, spojrzał bystro ku światłu, i cierknąwszy surowo na piszczących smarkuli, łepek pod skrzydło wsadził i chrapnął.

Na takie wróbla sędziwego orzeczenie, ucichło się i w koronach drzew i zaroślach i krzach. Słowik podfrunął na wyższą witkę leszczyny i gardło nastroił... Napróżno.

W głębi dworku zabrzmiały ciche akordy a w ślad za niemi zadźwięczał melodyjny głosik niewieści. Zadźwięczał z początku niepewnie, głucho, aż wyrwawszy się do parku, strunami perlącej się na trawnikach rosy spłynął i echo odnalazł.

Czyli pamiętasz, mówił do żołnierza
Poważny Rotmistrz od znaku pancerza —

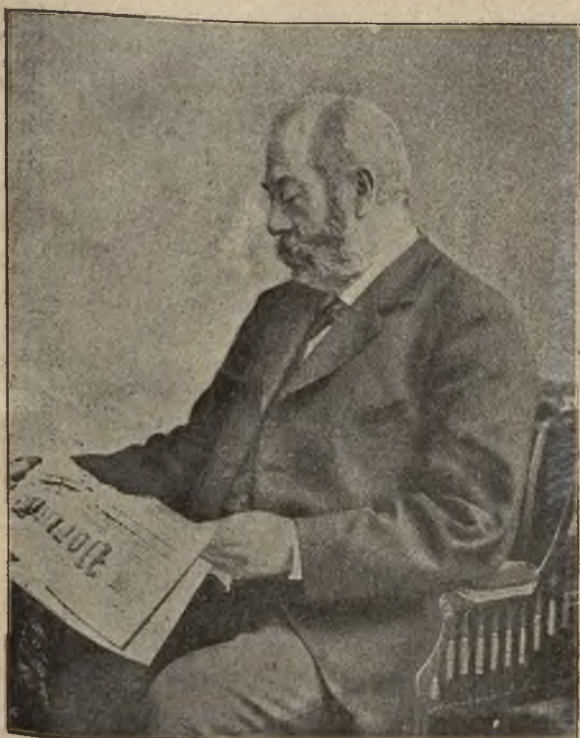
nucił coraz śmielej głosik melodyjny.

W saloniku pani Marchockiej pułkownik Bem stał zaparty na klawikordzie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W czterdziestą rocznicę.

W lutym b. r. mija czterdzieści lat od chwili, gdy Zgromadzenie narodowe orzekło det onizacyę dynastyi Bonapartych, po smutnym wyniku wojny



Dwaj parlamentarzyści: Paweł Singer.

francusko-pruskiej i jej następstwach. W dwa lata później zamknął oczy Napoleon III, znękany niepowodzeniami losu a wdowa po nim, ex-cesarzowa Eugenia żyje do dnia dzisiejszego, prowadząc żywot odosobniony, poświęcony modlitwom i dziełom chrześcijańskiego miłosierdzia.

Z okazyi smutnej rocznicy przypomniano sobie nieszczęśliwą staruszkę, która jak co roku tak i obecnie w dniu 20 stycznia zjechała do Mentony, aby w swej willi na Cap Martin spędzić zimowe miesiące. Cesarzowej towarzyszy nader szczupły dwór, na krok nie odstępuje jej dama honorowa, panna d'Arnouville. Odziana w grubą żałobę, której nie zdejmuje od śmierci jedynego syna, zwanego powszechnie księciem Lulu (zginął w kraju Zulusów w Afryce południowej), nadzwyczajną swą powagą i majestatycznym wyglądem budzi ogólne zainteresowanie, z uśmiechem przyjmuje objawy sympatyi i współczucia, od czasu tylko do czasu padnie z poza ciemnych okularów jaśniejszy błysk, tych tak niegdyś wspaniale błyszczących oczu, które taki wpływ miały na przebieg ówczesnej polityki światowej.

Rodem właściwie Włoszka, wychowana zaś pod gorącem niebem Hiszpanii, przez matkę należy cesarzowa do familii szkockiej, która uciekła z kraju po upadku Stuartów. Od roku 1853 małżonka cesarza Napoleona III, który ją poślubił oczarowany jej wdziękami, zajmowała się polityką i szczególniej pod koniec rządów swego małżonka wywierała bardzo znaczny, ale też i szkodliwy wpływ na sprawy państwa, popierając z całej siły konserwatystów a zwalczając zjednoczenie Włoch. Jej głównie namowom przypisują wybuch wojny francusko-niemieckiej, która stała się grobem potęgi Bonapartych. Była to zresztą kobieta roztropna, energiczna i sprężysta.

Po wybuchu rewolucyi w r. 1870 uciekła z Paryża i osiadła na wygnaniu w Anglii, gdzie zamieszkała w ofiarowanym jej przez królową Wiktoryę zamku Chiselhurst, wydając znaczne sumy na podtrzymanie stronnictwa bonapartystów w kraju. Gdy ze śmiercią syna wszelkie nadzieje odzyskania tronu bezpowrotnie upadły, odbyła podróż na miejsce jego zgonu i przybrawszy nazwisko hr. Pierrefonds, usunęła się zupełnie od życia publicznego.

Cesarzowa pisze podobno pamiętniki, które mają być wydane dopiero po jej śmierci.

Z życia gadów podzwrotnikowych.

(Do illustracyi na str. 4).

Nie każdy, patrząc na naszą niewinną jaszczurkę, uganiającą po polach i pagórkach za muszkami i owadami, zdaje sobie sprawę, że pokrewne jej gady dochodzą nieraz kolosalnych rozmiarów i odznaczają się nadzwyczajną drapieżnością, że wspomnimy tylko znane wszystkim krokodyle, gawyale, aligatory i kajmany, dosięgające niejednokrotnie nawet dziesięciu metrów długości. W najpóźniej odkrytej i najmniej też wobec tego znanej Australii napotyka się także na rozmaite okazy jaszczurczego rodu, nie tak wprawdzie wielkie, jak n. p. ich afrykańscy lub amerykańscy pobratymcy, w każdym jednak razie nie mogące ani nawet równać się z naszemi jaszczurkami, z których największa, jaszczurka zielona, dochodzi zaledwie niespełna czterdziestu centymetrów długości.

Pod australskiem niebem żyją jaszczurki, osiągające pokaźną długość ponad dwa metry, odznaczają się zaś nadzwyczajną wojowniczością i żarłocznością. Jako przykład służyć może zamieszczona w niniejszym numerze illustracya, sporządzona według amatorskiego zdjęcia jednego z naszych rodaków, bawiącego właśnie w Australii, a przedstawiająca dwa walczące ze sobą potwory z rodzaju *Goanna* lub *Goulds Monitor*.

Obydwa gady, podobnie jak i nasze europejskie jaszczurki, wybierające sobie na miejsce pobytu szczególniej wystawione na działanie promieni słonecznych zbocza pagórków, spotkały się ze sobą w skalistym wąwozie i natychmiast rozpoczęły ze sobą zażartą walkę na śmierć i życie, starając się o ile możności zadawać przeciwnikowi ukąszenia w okolicę nasady ogona, prawdopodobnie najczulsze miejsce jaszczurczego tułowia. W czasie tej walki tak się zacietrzewiły, iż myśliwy zbliżył się do nich na kilkanaście kroków, zrobił zdjęcia migawkowe i oczekiwał na rezultat walki, z każdą chwilą zaostrzającej się coraz bardziej. Obaj przeciwnicy (a może i przeciwniczki) rozporządzali jednakowoż równemi siłami, raz zwycięstwo przechylało się na jednę, to znowu na drugą stronę, walka pozostawała jednak nierozstrzygnięta, aż wreszcie znudzony oczekiwaniem myśliwy, położył jej kres, kładąc trupem jednego z zapaśników, drugi zaś zbiegł w popłochu.



Sensacyjne procesy polityczne: Dr. Włodzimierz Ochrymowicz, generalny oskarżyciel i zastępca prawny wydawców „Diła".

Niegdyś, w czasach przedpotopowych, znane z geologii olbrzymy świata zwierzęcego, których szczątki znajdujemy w formacyi przeważnie kredowej i jurajskiej, należały także do typu gadów, a rodziny jaszczurek.



W czterdziestą rocznicę: Ex-cesarzowa Eugenia, udając się do willi w Cap Martin, opuszcza dworzec w Mentonie.

Kronika tygodniowa.

Uniwersytet krakowski zamknięty na czas karnawału, aby dać możność młodzieży oddania się całkowicie kultowi Terpsychory. Niech żyją nogi, kiedy głowy odmówiły posłuszeństwa. Że odmówiły, dowodem tego cała Zimmermaniada.

Gdyby głowy należycie funkcyonowały, musiałyby uznać:

po pierwsze, że wydział teologiczny na uniwersytecie krakowskim istnieje (jest to wprawdzie okropność, ale *to je factum,* jak powiadają bracia Czesi);

po drugie, że wydział ten ma prawo ustanawiać katedry i proponować ich obsadzenie (jest to wprawdzie krzycząca niesprawiedliwość, bo na sprawach teologii lepiej się znają n. p. uczniowie medycyny, ale niestety niesprawiedliwość tę sankcyonowała ustawa);

po trzecie, że jak wydział teologiczny miał prawo przedstawić ks. Zimmermanna na katedrę socyologii chrześcijańskiej, tak minister oświaty miał prawo powołać go na to stanowisko (fakt ten woła wprawdzie o pomstę do nieba, ale niestety niebo milczy);

po czwarte, że katedrę taką samą ustanowiono przedtem już w Wiedniu i w Pradze, a mimo to wolnomyślna młodzież niemiecka i czeska (widocznie mimo wolnomyślności nawskróś klerykalna) przyjęła obojętnie i bez protestu ten zamach na swobodę nauki (swoboda wogóle polega na tem, aby inaczej myślących nie dopuszczać do głosu);

po piąte, że ks. Zimmermann (nawiasem mówiąc zarówno prawie niekochany przez ks. kardynała Puzynę jak i posła Daszyńskiego) miał prawo ogłosić *publicum* i lubo temat jego publicznych wykładów był strasznie reakcyjny, demoralizujący i niepatryotyczny (o tem, jak Wielkopolska pozbyła się zależności ekonomicznej od niemców i żydów), to przecież wolno było każdemu „postępowemu" akademikowi i każdej postępowej akademiczce, tak wyznania chrześcijańskiego jak mojżeszowego, wykłady te jako zapowietrzone omijać, a nawet słuchaczom ich dać poznać, że są zaśniedziałymi klerykałami.

Gdyby młodzież postępowa te pięć punktów przez retortę swego delikatnego rozumu przepuściła, nie byłoby awantur listopadowych dla uczczenia powstania listopadowego (głośna awantura wypadła 29 listopada), ani styczniowych dla oddania hołdu rocznicy styczniowej. Nie byłoby burd na pierwszych występach ks. Zimmermanna, nie byłoby ani wyroku senatu za 29 listopada, ani strajku z rozbijaniem bram i niewinnych ławek, ani barykad ani widoku majtek i pończoch, wspinających się na kraty słuchaczek, ani wstępnego wykładu prof Daszyńskiego, ani policyi i wojska, ani konserwatoryum prof. dra Grossa, ani precyzyjnego wykonania „Czerwonego sztandaru", ani ściągania butów „inaczej myślących", ani robotników, którzy stanęli „ramię przy ramieniu" (słowa mówcy na wiecu) ani legu sympatyków kaźmierskich ani wzywania o pomoc wrogiej narodowi polskiemu młodzieży niemieckiej, ani wreszcie zamknięcia uniwersytetu. Ale, że niema tego złego, coby na dobre nie wyszło, więc, jak już wyżej zaznaczono, młodzież porzuciwszy, dzięki ks. Zimmermannowi, mozoły naukowe, oddaje się teraz z całem poświęceniem bezpartyjnej pracy nożnej na śliskich posadzkach salonowych.

Bal kto nie tańczy! Tańczyli już kilkakrotnie urzędnicy, tańczyli zwolennicy żargonu Esperanto, tańczyli Sokoli, hulała Polonia, skakała Eleuterya, fikała Bratnia pomoc, wiedli taniec „historycy", tryndali się (wyrażenie z balu) zwolennicy dramatu klasycznego, froterowali posadzkę kelnerzy, puszczała się w dyrdy służba miejska, toż samo czyniła służba katolicka, łączyła się w tanach Łączność, kręciła się Rabka, kołowało Koło literackie, wycinał hopki klub prawników, hasali rolnicy... W samą 48 mą rocznicę powstania były aż trzy bale publiczne. W chwili, kiedy to piszemy, zabiera się do pląsów „Straż Polska", a zaraz po niej puszczą się w tany oficyantki rządowe, po nich urządzają piknik medycy, aby ustąpić balowi Koła mieszczańskiego, które znów zluzuje bal kupiecki. Będziemy tańczyli i na walkę z gruźlicą (na balach najłatwiej jej dostać można) i na towarzystwo dziennikarzy (reduta prasy) i na dom akademicki (bal Empire). Notuję to wszystko z pamięci — ileż tych filantropijnych czynów przeoczyłem! A na samym końcu karnawału, czy też w sam popielec (co w tym wypadku byłoby właściwiej) ma być, a przynajmniej powinien być urządzony bal na ojców rodzin, zniszczonych materyalnie przez zabawy karnawałowe.

Z wyliczenia tych balów widać, jak się demokratyzujemy. Wszystkie stany łączą się przy dźwiękach muzyki: hula zarówno krew hetmańska, jak ekonomska, jak nawet chłopska. Demokratyzacya zaznacza się zresztą na każdym kroku: po każdym balu są w restauracyach „trupy" wszelkiej krwi (błękitnej, karmazynowej, czerwonej, czarnożółtej, aż do najordynarniejszych); wszelkie damy, z pałaców czy z kuchni, otrzymują karnety, wszystkim balom przygrywa narodowa c. k. muzyka. Najwięcej zaś demokratyczne są wszelkie zaproszenia. Oto mam przed sobą zaproszenie na bal służby miejskiej, przysłane stróżce kapłance pewnego znicza kuchennego. U góry są wyliczeni protektorowie balu, na który podpisany komitet „ośmiela się zaprosić JWielmożną p. Antoninę Grzybczyk". Tak jest: „ośmiela się" i „jaśnie wielmożną". Ogromnie demokratyzujemy się. Jeszcze przed 30 laty do profesora uniwersytetu, radcy sądu, dyrektora banku i t. p. pisało się: „Szanowny Panie" — dziś zaś do kucharki pisze się: Jaśnie Wielmożny garukotłuku!

Tej „jaśnie pańskiej" demokratyzacyi jest owocem wyrok rady miejskiej w sprawie JE. Wodzickiego. Komisya rady, składająca się z samych jaśnie wielmożnych demokratów, na mocy opinii współoskarżonego demokraty Loewensteina, uznała, iż JE. Wodzicki nie ponosi żadnej winy w zaprzepaszczeniu Rydzyny. Jest to zarazem wyrok na niesłychaną głupotę i rozrzutność rządu pruskiego, który dał za darmo blisko pięć milionów panom „agnatom" (poprzednio jeszcze milion Sułkowskiemu), aby otrzymać Rydzynę, która mu się prawnie, według zdania komisyi, należała i za którą też nie zapłaciłby ani pół marki. A może apokryfem jest ugoda panów „agnatów" z rządem pruskim — może JEkscellencya ani centa nie dostanie, może to tylko dziennikarze puścili kłamliwą wieść o owych milionach?

Ej, nie — nie musiała być ona kłamliwą, kiedy rada miejska uniewinniając JE Wodzickiego, orzeka jednocześnie, że miliony rydzyńskie ma on przeznaczyć na cele publiczne. Ciekawa zaiste logika: JE. Wodzicki nic nie zawinił, otrzymuje prawnie mu należące się miliony, — i ma się ich zrzec dla dobra publicznego! Skąd komisya rady rozporządza czyjąś uczciwie nabytą, w drodze spadku czy układów, własnością? skąd komisya wymierza karę „niewinnemu" hr. Wodzickiemu? A jeżeli to ma być ekspiacya, to była i wina.

Otóż, zdaje się, że jest tu nieporozumienie. Zwracałem już na tem miejscu uwagę, że skład przypadkowego sądu jest bardzo dziwny: składają go przeważnie ludzie „praktyczni" (dwu bankierów, notaryusz, przedsiębiorca, budowniczy), co więcej, na 9 członków jest trzech żydów i jeden czech. W takim składzie musiało przeważyć zdanie, że interes był dobry, że lepiej wziąć odrazu połowę, niż procesować się o całość i dzielić się po wygraniu procesu z innymi agnatami, też roszczącymi pretensye. Nie ulega wątpliwości, że ze stanowiska interesu układ dwu hrabiów z rządem pruskim był dla nich korzystny — również korzystny i dla rządu pruskiego, bo mu dawał szmat ziemi za połowę jej wartości. I gdyby tu szło o dobra w Westfalii lub Brandenburgii, moglibyśmy razem z częścią sędziów pochwalić delikatny rozum obu hrabiów. Ale ta ziemia, do której sprzedali prawo, pod korzystnymi dla siebie warunkami, ma dla nas znaczenie ziemi narodowej — strata jej, to strata narodowa. Widocznie ta strona sprawy psuła mniejszości komisyi ten pogląd „praktyczny", za którym stanęła jej większość. Ale cóż robić? mówiono — Rydzyny już się nie odzyska, niech więc chociaż uzyskane za nią pieniądze pójdą na cele publiczne — lepszy rydz niż nic. I z takiego starcia się dwu poglądów nastąpiło kompromisowe orzeczenie: jesteś hrabio niewinny, ale oddaj grosze, ponieś karę. Z nieślubnego związku praktyczności z sentymentem urodził się potworek. Życie jego krótkie, bo ani opinia nie pogodzi się z niewinnością hr. Wodzickiego, ani też on nie pogodzi się z werdyktem, odbierającym mu „krwawo zapracowane" miliony.

Opinia nie pogodzi się i z dziennikarskiemi wyjaśnieniami sprawy bocheńskiej. Tylko zainteresowaniem się Zimmermaniadą można wytłómaczyć obojętność na tragedyę Wasyliszyna. W chwili, kiedy odzywają się głosy za bezkarnością wybryków, doprowadzających do zamknięcia uniwersytetu, mamy fakt relegacyi ucznia VIII klasy za... palenie papierosa w gmachu szkolnym. Straszna zbrodnia! Za taką zbrodnię niech winny pokutuje całe życie — złamać mu przyszłość, jak psa wyrzucić. Niech idzie z piętnem hańby do ludzi, boć nikt nie uwierzy, aby nie popełnił ciężkiego przestępstwa, kiedy go ze szkół wypędzili pedagodzy, ludzie kochający młodzież, znający jej psychologię, a stąd wyrozumiali, wiedzący jak niebezpiecznym jest wiek dojrzewania, — ludzie, którzy podjęli się misyi apostolskiej w całem poczuciu wysokiego swego zadania. Nikomu na myśl przyjśćby nie mogło, że wypędzają uczniów nie za kradzież, lub szerzenie moralnej gangreny, ale za papierosy. Ale *pereat mundus, fiat justitia*, — a *justitia* rady szkolnej powiada, że największą nikczemnością gimnazyalisty jest palenie tytoniu na korytarzu i za tę nikczemność najwyższą też wyznacza karę. Prywatne komunikaty, biorące w obronę postąpienie profesora, który złapał zbrodniarza na gorącym uczynku (profesor ten ma lat 24, a Wasyliszyn miał 23), i dyrekcyi, która Wasyliszyna w porozumieniu z radą szkolną relegowała, twierdzą, że nieboszczyk przedtem już inne popełnił przestępstwa. Musiały być rzeczywiście okropne, kiedy zbladły wobec palenia papierosa. A jednak za tamte zbrodnie go nie wydalono! Samobójstwo nieszczęśliwego dowodzi, że był to chłopak ambitny, a z takich bywają ludzie. Ale gdyby nie jego śmierć, nie dowiedzielibyśmy się o zgrozą przejmujących przepisach i o tem, że są pedagodzy, co ze spokojem sumienia zadają moralną śmierć młodzieży za lada drobnostkę. Czyż za takie „zbrodnie" niema nagany, karceru, popsucia stopnia w obyczajach? I pomyśleć sobie, że tak ukaranych zbrodniarzy papierosowych w samej Bochni było już kilku — iluż ich w całej Galicyi, — ileż złamanych losów, iluż wykolejonych. Silne duchy (a jakże ich niestety mało!) dadzą sobie radę bez papierosowego świadectwa dojrzałości, ale słabe (a jakże ich wiele) powiększają tylko męty społeczne. Zbudź się opinio i zażądaj zdania sobie „liczby z włodarstwa" w twych „dobrach" najwyższych.

Ażeby tą bolesną sprawą nie kończyć kroniki, pisanej w czasie szału karnawałowego, powracam na salę balową i wyrażam głęboki żal do świata i ludzi, że mnie nie powołano na członka któregokolwiekbądź komitetu hopkowego. Żal to usprawiedliwiony, boć o ile wierzyć naszym źródłom wiadomości złego i dobrego, czyli dziennikom, niema donioślejszej akcyi, nad akcyę balową. Sprawozdania z niej (z tego, co się odbyło i z tego, co się odbędzie) zajmują całe łamy dzienników. Przed paru dniami „stało czarno na białem", że na balu w Szczakowej „szczere wzruszenie (patryotyczne) ogarnęło uczestników, kiedy p. B... rozpoczął wieczór polonezem z panią C...". W drugim „organie" zaznaczono, że na czele pewnego komitetu balowego „stoją ludzie znani z energii, zapału i wiedzy w tym kierunku". A wszystkie „organy" bez wyjątku zachwycają się polskimi tańcami w Wiedniu na balu przemysłowym, których urządzeniem zajęła się... Liga pomocy przemysłowej.

Z pociechą widzimy, że i ta Liga pojęła nareszcie doniosłość swych zadań. Bal wszak urządziła w Krakowie na ulicy Pawiej „wystawę karnawałową" — ale nie radzę wam jej oglądać, bo na wystawach sklepowych piękniejsze i lepsze okazy ujrzycie, niż na tej wystawie Blagi niemocy przemysłowej.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. Janusz Lefus, Warszawa: Nadesłane nam zagadki umieścimy w jednym z najbliższych numerów

WP. Wiktor Dąbrowski, Jampol: Nazwiska nadsyłających rozwiązanie i nagrodzonych zostaną umieszczone w jednym z numerów w lutym.

Głosy publiczne.



Sensacyjne procesy polityczne: Józef Ziembiński, odpowiedzialny za redakcyę „Słowa polskiego".

Sensacyjne procesy polityczne.

W tymsamym prawie czasie, we Lwowie 31 stycznia, w Krakowie o kilka dni później, rozpoczęły się dwa procesy polityczne, których epilogu opinia publiczna z łatwo zrozumiałem oczekuje naprężeniem.

Są to znane i głośne procesy przez wydawców i redaktorów „Diła" oraz „Ukrainische Rundschau" pp. Aleksandra Borkowskiego, dra Włodzimierza Baczyńskiego, dra Longina Cegielskiego, dra Włodzimierza Ochrymowicza i dra Włodzimierza Kusznira, wytoczone redaktorom pięciu codziennych pism polskich za to, że pisma te przedrukowały głośne w czerwcu r. ub. rewelacye b. szpiega pruskiego Bolesława Rakowskiego, umieszczone w „Kuryerze warszawskim".

Rewelacye te, jak wiadomo, wydobyły na światło dzienne i stwierdziły ścisłe związki rządu i policyi pruskiej z przywódcami ukraińskiej partyi galicyjskiej. Rewelacye poparte były dokumentami, których wiarygodność zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości. Wobec tego przedrukowała je cała prasa polska — wywołując łatwo zrozumiałe podrażnienie w obozie ukraińskim. Rezultatem tego były dwie skargi sądowe. Jedna wniesiona do sądu lwowskiego przeciw pp.: Józefowi Ziembińskiemu, dyrektorowi drukarni „Słowa polskiego", jako odpowiedzialnemu za redakcyę tego pisma, Franciszkowi Jaworskiemu, redaktorowi „Kuryera lwowskiego" i Adamowi Krajewskiemu, red. „Dziennika polskiego"; druga do sądu krakowskiego przeciw pp. Rudolfowi Starzewskiemu, red. „Czasu" i Maryanowi Dąbrowskiemu b. red. „Głosu narodu".

Obie skargi, w treści swej mniejwięcej jednakie, oparte są na założeniu, iż rewelacye Rakowskiego są nieprawdziwe, że przeto oskarżeni, zamieszczając je, względnie powtarzając za „Kuryerem warszawskim", dopuścili się obrazy czci na osobach oskarżycieli, tem więcej, że na czyny zarzucone — zdaniem aktów oskarżenia — żadnych dowodów przedłożyć nie mogą.

Co do tego ostatniego punktu, to jest to tylko opinia oskarżycieli. Oskarżeni bowiem na innem stanęli stanowisku i tak w Krakowie jak we Lwowie ofiarowali przeprowadzenie jaknajobszerniejszego dowodu prawdy, ograniczając się na razie do przedstawienia tła całej sprawy, zatargu polsko ruskiego w Galicyi, a domagając się równocześnie przesłuchania całego szeregu świadków, którzy stwierdzą autentyczność rewelacyi Rakowskiego.

Mistrzowskiem było zwłaszcza naszkicowanie stosunków polsko-ruskich, podkreślenie idowego tła toczących się procesów, tła na którem rozpatrywane rewelacye Rakowskiego wielkiej nabierają wiarygodności. Dokonali tego w obszernych a świetnych pod względem formalnym przemówieniach, adwokat dr. Pieracki we Lwowie i redaktor „Czasu" w Krakowie.

Dwa te przemówienia były punktami kulminacyjnymi obu procesów w ich dotychczasowem stadyum. Tak bowiem krakowski jak i lwowski trybunał, pomimo sprzeciwów ze strony ukraińskiej, uznały za stosowne dopuścić przeprowadzenie dowodu prawdy w takiej rozciągłości, jak tego zażądali oskarżeni.

Wobec tego rozprawy zostały odroczone, akta wróciły do sędziów śledczych, których zadaniem będzie przesłuchanie wszystkich świadków i zebranie materyału dowodowego, ofiarowanego zarówno przez obronę jak oskarżenie. Ponieważ jednak niektórzy świadkowie bawią zagranicą i przesłuchanie ich będzie musiało być przeprowadzone w drodze dyplomatycznej — przeto przerwa potrwa kilka miesięcy



Sensacyjne procesy polityczne: Adam Krajewski, odpowiedzialny redaktor „Dziennika polskiego".

i terminu nowej rozprawy, zapowiadającej się niezwykle sensacyjnie, sensacyjniej nawet niż początek tego procesu, oznaczyć dziś niepodobna.

Praktyczny wynalazek.

Przyznać należy, że niemal równorzędnie z udoskonaleniem armat, karabinów, materyałów wybuchowych, wogóle tych wszystkich środków morderczych, które w czasie wojny mają szerzyć w szeregach nieprzyjacielskich spustoszenie, postępnie rozwój i udoskonalenie chirurgii i hygieny wojskowej,



Sensacyjne procesy polityczne: Franciszek Jaworski, odp. redaktor „Kuryera lwowskiego".

pojawiają się też coraz nowe, coraz doskonalsze przyrządy, których zadaniem i przeznaczeniem jest pomoc rannym i chorym żołnierzom w razie wypadku.

Jednym z najnowszych a bardzo praktycznych wynalazków z tej dziedziny jest rower-ambulans pomysłu jednego ze starszych oficerów armii angielskiej, komendanta szkoły „Newbury Grammar Boy Scouts".

Wspomniany oficer przedstawił swój projekt generałowi Robertowi Powellowi, który uznał go za zupełnie odpowiedni i praktyczny i polecił wprowadzić do użytku w armii angielskiej już przy sposobności najbliższych manewrów.

Rower ambulans składa się z czterech kół rowerowych, między któremi na elastycznych sprężynach spoczywają nosze. Ważne jest to jeszcze, że w danym razie, gdy teren n. p. jest kamienisty, tak że przewóz rannego byłby niemożliwy, nosze można podnieść i przenieść zupełnie wygodnie na lepszą drogę.

Wobec wielkiej doniosłości tego rodzaju środka przewozowego na wypadek wojny, należy się spodziewać, iż znajdzie on zastosowanie bardzo szerokie we wszystkich armiach.

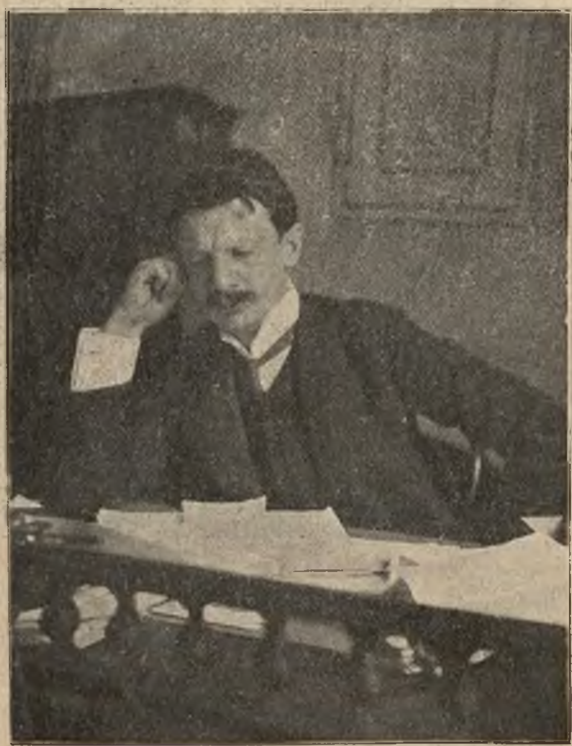


Praktyczny wynalazek: Rower-ambulans do przewożenia rannych żołnierzy, wprowadzony w armii angielskiej

Olbrzym morski.

Wysiłki wszystkich mocarstw, które posiadają floty wojenne, nieustają ani na chwilę, byle tylko stan tych flot jak najpotężniej wzmocnić i zapewnić sobie przewagę na morzu nad tem państwem, z którem mogłoby z jakichkolwiek powodów przyjść do konfliktu.

Nawet poczciwa Austrya, która ma kawałek morza do dyspozycyi, wydaje ku utrapieniu wszystkich podatników bajońskie sumy na sprawienie i wyposażenie nowych statków wojennych, tak jakby do niej mogły się stosować słowa, iż przyszłość jej leży w morzu. Nie ma pieniędzy na drogi wodne, nie ma na najpożyteczniejsze inwestycye o znaczeniu wprost społecznem, ale na nowe armaty i na nowe okręty zawsze one znaleść się muszą.



Sensacyjne procesy polityczne: Rudolf Starzewski, odpowiedzialny redaktor „Czasu".

Mniej dziwne, że na cel taki nie szczędzi Anglia bo i bogata ona bardzo i potęgę swą opiera rzeczywiście na morzu. Może też pozwolić sobie na nowe, olbrzymie dreadnoughty, bo jej są potrzebne na prawdę i ma środki na taką zabawkę.

Rząd angielski zresztą ma niebezpiecznego konkurenta a to Niemcy, których flota z każdym rokiem staje się potężniejszą, a Anglia nie może dopuścić, by jej flota była nawet tylko równorzędna z flotą niemiecką.

Co roku też buduje nowe, potężne statki wojenne, a jeden z ostatnich i największych został przed paru dniami spuszczony na morze. Nazwano go „Thunderer". Uroczystość spuszczenia na morze tego dreadnoughta odbyła się z wielką okazałością w obecności króla Jerzego V.

Ze sportów zimowych.

(Do illustracyi na str. 2 i 3.)

Z roku na rok wzrasta wśród młodzieży zamiłowanie do sportów zimowych. Narty, łyżwy, saneczki — oto „broń", którą dziś walczy zapamiętale młodzież wszystkich krajów, hartując swe ciało, przyzwyczajając je do znoszenia trudów i wysiłków fizycznych, przyzwyczajając je do zimna i zmian atmosferycznych.

Niema też dziś dwu zdań, że rozpowszechnienie sportów zimowych i zainteresowanie nimi szerokich kół młodzieży, to objaw nadzwyczaj sympatyczny i pocieszający, objaw, po którym spodziewać się można wyników tylko bardzo dodatnich.

Obok znanego od dawna sportu łyżwiarskiego, kultywowanego niestety w Krakowie na niezbyt szeroką skalę, najmodniejszym dziś i najbardziej wziętym, choć od niedawna u nas znanym sportem jest saneczkowanie. W tym roku, mimo wcale nieszczególnych warunków atmosferycznych, uprawia go znacznie więcej młodzieży, niż w latach poprzednich.

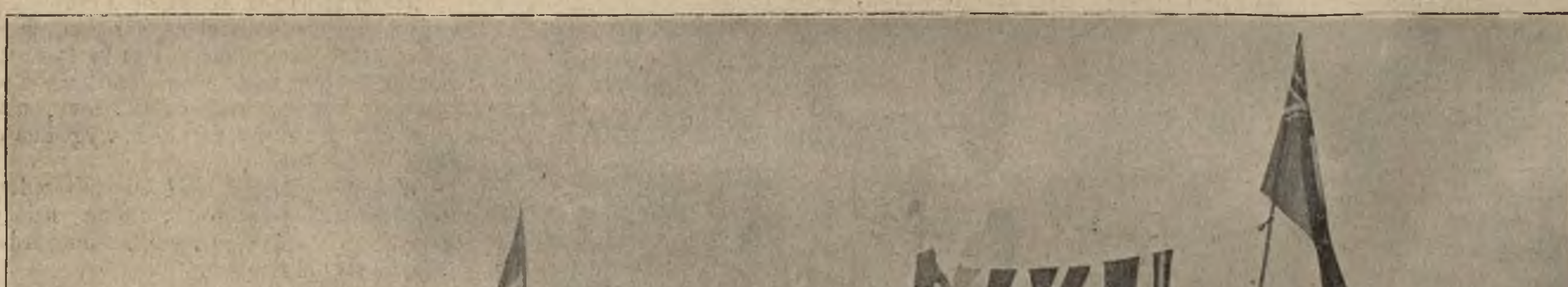
Dalszemu rozwojowi zdrowego sportu stoi na przeszkodzie przedewszystkiem brak odpowiedniego toru sztucznego, ktore mają niemal wszystkie miasta zagraniczne a i wiele miast polskich. Brak toru sztucznego zmusza saneczkarzy krakowskich do szukania przytułku na nieznacznych pochyłościach okolic Krakowa, jak Sikornik, Wola Justowska, Borek Fałęcki i t. p. Roją się one w pogodne dni tłumem krakowskich sportsmenów.

Najwięcej ich gromadzi się na górze, wiodącej od Panieńskich Skał na Wolę Justowską. Jedno ze zdjęć naszych przedstawia właśnie grono saneczkarzy na sankach obok Woli Justowskiej.



Sensacyjne procesy polityczne: Maryan Dąbrowski, b. red. odpowiedzialny „Głosu Narodu".

Sport saneczkowy ma zwolenników także w najwyższych sferach, a jedno z naszych dzisiejszych zdjęć przedstawia właśnie dziatwę następcy tronu austryackiego, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, zabawiającą się jazdą saneczkową na świetnym torze w znanej miejscowości klimatycznej St. Moritz w Szwajcaryi.



Olbrzym morski: Najnowszy dre dnought angielski „Thunderer", spuszczony niedawno uroczyście na morze.

St. Moritz jest od szeregu lat ulubionem miejscem zimowego pobytu arcyksięcia następcy tronu i jego rodziny, która też corocznie spędza tam po kilka tygodni na uprawianiu wszelakich sportów.

Innego rodzaju obrazek z życia zimowego przedstawia dalsza nasza rycina. Widzimy tam gromadkę uczniów i uczenic, uzbrojonych w narty i z wesołemi minami posuwających się po równej drodze.



Powstanie w Arabii: Sanaa, stolica prowincyi Yemen.

Jest to dziatwa szkolna ze wsi Rokitnicy nad Izerą w Czechach, w okolicy górzystej, bo wśród znanych gór Karkonoszy, położonej. Dziatwa szkolna w tamtych stronach musi w zimie uprawiać sport narciarski, gdyż wobec górzystego terenu a dużych zawsze opadów, jest to niemal jedyny sposób komunikacyi. Na nartach dostają się chłopcy i dziewczęta do szkoły, na nartach z niej powracają do odległych nieraz o kilka kilometrów domów.

Bardzo często urządzają też uczniaki pod nadzorem i kierunkiem nauczycieli gromadne wycieczki narciarskie w okolicę, a zdjęcie nasze przedstawia właśnie fragment takiej wycieczki wśród gór Karkonoszy.

Powstanie w Arabii.

Turcyę nietylko nowożytną, ale już od wieków wstecz licząc kilku można by nazwać krainą powstań bez końca. To tu, to tam wybuchają od czasu do czasu rozruchy, które stłumione narazie, niedługo tem jaskrawszem wybuchają zarzewiem buntu. Zwłaszcza w Arabii walki są nieustanne, a datują się od r. 1517, kiedy to sułtan Selim I, po zagarnięciu Egiptu, wszedł w posiadanie także całej Arabii oraz najświętszej u muzułmanów odznaki kalifatu, zwierzchności religijnej, zielonej chorągwi proroka. Ta zdobycz ostatnia dała sułtanowi prócz zwierzchności świeckiej także i najwyższą zwierzchność duchowną: kalifat, ze szkodą potomków Mahometa, zamieszkujących Yemen, prowincyę położoną w południowo-zachodniej Arabii. Jak długo sułtanowie kalifowie byli potężnymi, był spokój, lecz wraz z upadkiem państwa ottomańskiego wybuchły zamieszki, zmierzające do odłączenia kalifatu od sułtanatu i przywrócenia go prawowitym władcom.

Początek tego ruchu w ostatniej jego fazie sięga 20 lat wstecz. Przygotowywane w Yemenie w cichości powstanie wybuchło w 1903 roku. Powstańcy sprawili wówczas krwawą rzeź załodze tureckiej, choć ostatecznie udało się wtedy stłumić powstanie, to jednak odtąd po każdorazowem chwilowem uśmierzeniu wybucha ono na nowo.

Ostatnim razem doniosły depesze, że 19 go stycznia iman, zwierzchnik duchowny Yemenu, Yahia, wypowiedział Turcyi wojnę, że prowincyę ogarnął pożar buntu i że szczęście wojenne sprzyja powstańcom. Rząd turecki wysłał zrazu do Yemenu 30 batalionów piechoty, później posłał więcej jeszcze wojska i ostatecznie udało mu się narazie zgnieść powstanie. Czy na długo? Sądząc po historyi dotychczasowej zamieszek w państwie ottomańskiem, przypuszczać należy, że przeciwnie, że za czas jakiś bunt z nową siłą, nowe pociągając za sobą ofiary, wybuchnie.

Zjazd naczelników sokolich.

(Do illustracyi na str. 2).

Przemyski, t. j. IV. okręg sokoli przygotowuje się do okręgowego, doraźnego zlotu oraz zawodów, mających odbyć się w tym roku. W tym celu dla ustalenia szczegółów odbył się w niedzielę 29 stycznia w sali „Sokoła“ w Przemyślu zjazd członków grona nauczycielskiego z całego okręgu. Przybyli delegaci z dwunastu gniazd okręgu i uchwalili w zasadzie urządzenie zlotu jeszcze w ciągu roku bieżącego, natomiast decyzyę co do miejsca zlotu oraz co do czasu, w którym zostanie urządzony, uchwalono pozostawić następnemu zjazdowi, który odbędzie się w marcu b. r. również w Przemyślu, a do którego przygotowaniem tylko był zjazd niedawny, obesłany przez delegatów z Dynowa, Ustrzyk, Jarosławia, Liska, Lubaczowa, Mościsk, Niżankowic, Pnikut, Radymna, Sambora, Starego Sambora i Przemyśla.



Sensacyjne procesy polityczne: Bolesław Rakowski, były szpieg pruski, którego rewelacye, powtórzone za „Kuryerem Warszawskim“, przez dzienniki lwowskie i krakowskie, spowodowały dwa procesy polityczne.

Z kroniki towarzyskiej.

W ubiegłym tygodniu pobłogosławiony został w kościele Maryackim w Krakowie związek małżeński między pp. Zofią Niemojowską, córką znanego przemysłowca lwowskiego Stefana i ś. p. Pelagii



Stefan Unger.



Zofia z Niemojowskich Ungerowa

z Ruszkowskich, a Stefanem Ungrem, synem cenionego wydawcy, naszego zastępcy na Królestwo polskie i Warszawę, Gracyana i Ksawery z Ruszkowskich.

Młodej, urodziwej parze zasyłamy tą drogą serdeczne życzenia jak najdłuższych lat pożycia szczęśliwego.



Powstanie w Arabii: Forteca turecka w Sanaa, stolicy Yemenu.

Ze świata kobiecego.

W pierwszym rzędzie obowiązani jesteśmy, zanim przystąpimy do tegotygodniowej pogadanki z naszemi Czytelniczkami, załatwić się z obowiązkowym opisem naszych rysunków z poprzedniego numeru.

Pajęczyna (4) jako maskaradowy przystrój głowy. Stelaż robi się z mocnego drutu; środkowe druty owija się szczelnie gazową srebrną wstążką $1^1/_2$ do 2 centymetrów szeroką. Poprzeczną przędzę pajęczyny przeciąga się z grubych srebrnych nici, nie przytwierdza się ich jednak zbyt mocno. W pośrodku wielki pająk z bronzowej krepy zrobiony na wacie; z boku mucha.



Rys. 1. Toaleta balowa z czarnego aksamitu.

Rys. 2. Suknia balowa z rożowego jedwabiu *pongy* z przystrojem ręcznego malowidła.

Rys. 3. Wieczorowa suknia z chiffonu *tourquoise.*

Rysunek 1.: suknia wieczorowa z jedwabnego aksamitu; dołem przystrój z futra skunksów, stanik przybrany białą irlandzką koronką, z której także zrobiony jest kołnierzyk, a jeśli kto woli i szpiczasta, od niego idąca szmizetka. Rękaw kimono otacza obszycie futrzane. Pasek wysoki z czarnego *salin merveilleux.*

Rysunek 2.: Toaleta recepcyjna z atłasu *liberty* bronzowego. Stanik zapinany z tyłu, obszyty w górze bortą ze skunksów i przystrojony drobnymi jedwabnymi guziczkami. Haft z nici *vieil-or* i z takiejż tkaniny szmizetka uzupełniają wytworną całość.

Co do modeli, które zamieszczamy w dzisiejszym numerze, to przedewszystkiem zwracamy uwagę na bardzo efektowną i zawsze imponującą balową toaletę (rys. 1) z czarnego aksamitu. Stanik, zapinany z tyłu, w środku przedniej swej części składa się z różowego *chiffon,* pokrytego fałdowanym tiulem różowym; pozatem różowa część stanika wykazuje pasy haftu z perełek białych, czarnych i metalowych na tle czarnego tiulu. Zwierzchnia część stanika formy kimono jest aksamitną; spódnica z trenem, spięta jest z lewej strony agrafą z dżetu z kwastami z perełek; pasek ułożony w fałdy.

Rys. 2. daje nam wzór balowej sukni z różowego jedwabiu *pongy* o bardzo oryginalnym przystroju, plisy z *satin merveilleux,* malowanej ręcznie w róże *Maréchal-Nil* i róże *La France* tworzące wraz ze swymi liśćmi girlandę; plisę tę przytrzymuje ze stron obu srebrna, zębata borta na $1^1/_2$ cm. szeroka. Staniczek z wycięciem okrągłem, krojem bluzkowym, jest również zrobiony z *satin merveilleux,* malowanego w róże. Górną jego część stanowi biały tiul, ułożony w fałdy i przeciągnięty poniżej główki różową wąską wstążką. Krótki, wąski, zakończony srebrną bortą rękawek jedwabny, otwiera się na górnej części ramienia, odsłaniając fałdowany rękawek z różowego tiulu. Tunika z różowego tiulu, z boku rozcięta, dochodzi do kolan i przysłania tak samo stanik, wolne pozostawia tylko rękawy; tak u góry jak i dołem zakończona ona jest srebrną bortą; spódniczka z różowego *pongy.* Srebrny sznur związany z lekka, zastępuje miejsce paska.

Rys. 3. Wieczorowa suknia z chiffonu niebieskiego *tourquoise* z garniturem ze wstążek, polecenia godna dla młodych panienek, jako bezpretensyonalna a pełna wdzięku.

Rys. 4. Przedstawia suknię wieczorową z białego *pongy;* haft *à jour* szerokość 3 do 4 cm., podłożony jedwabiem *liberty* koloru *fraise* przystraja stanik. Zwierzchnią część stanika, formy kimono, z białego chiffonu zdobią naszyte pasy w odstępach 2 i 4 centymetrowych z białych kredowych perełek. Guziczki z jedwabiu *fraise* uzupełniają ten garnitur. Dół spódniczki powtarza tenże sam haft na tle jedwabiu *fraise.* Lekka tunika, sharmonizowana z przystrojem stanika, zakończona jest szerokim paskiem z jedwabiu *fraise* uzupełnionego takimiż końcami.

Rys. 5. daje nam suknię wizytową z czarnej *charmeuse,* jednej z najpiękniejszych kreacyi w tegorocznych mat ryałach na suknie. Stanik spodni z białego jedwabiu, w górnej i dolnej swej części oraz rękawach zakończony czarnym atłasem *charmeuse* zapina się na plecach. Kimono z czarnego na białym podkładzie chiffonu zdobne jest, jak to widzimy na rysunku, efektownym haftem z czarnych dżetów.

Druga połowa karnawału oczywiście poczyna się ożywiać, jakkolwiek nie widać jeszcze w zabawach tego zapału, jaki powinienby już ujawniać się. Wielki bal ogólno akademicki nie był bynajmniej tak licznym, jakby należało się spodziewać. Ożywionym natomiast był ogromnie bal maskowo kostyumowy Resursy Urzędniczej, który odbył się w sali hotelu Saskiego w dniu 1 szym lutego. Zabawy tego Stowarzyszenia mają już swoją tradycyę stałego powodzenia.

Mimo postawionego godła, większość była balowych toalet. Do najpiękniejszych należy policzyć czarną aksamitną toaletę p. prezydentowej Leowej, oraz białą atłasową p dr. Chmurowej, dalej wytworne domino p. Wiktory Jaworskiej i takież p. dr. Twarogowej, piękna toaleta p. posłowej Federowiczowej. Wśród gości widziano pp. prezydenta Leo, p. posła Długosza i wielu innych.

W powietrzu wszakże czuć się już daje podniesienie temperatury karnawałowej: Bal Rabki już ogłoszony, redakta Prasy zapowiedziana, te dwie *pièces de résistance* karnawału. Ze względu na kostyumowe zabawy nie od rzeczy może będzie podać naszym Czytelniczkom, parę choć wzorów kostyumów wiedeńskich, które zwróciły naszą uwagę swym wdziękiem i efektownością.

Kostyum kwiatowy „Bez“: spódniczka z białego jedwabiu, dołem zakończona plisą z blado-lila atłasu, tunika zwierzchnia, sięgająca aż po plisę, z białej koronki Od szerokiego paska z lila jedwabiu ułożonego w fałdy, spływają w odstępach gałęzie bzu w dole zakończone kiściami kwiecia, stanowiącemi szlak tuniki. Stanik biały tiulowy z bretelkami z koronek, tworzącemi rękaw; u wykroju stanika olbrzymie dwa bukiety bzu na koronce szelek. Na głowie opaska złota, po obu bokach dwa takież bukiety bzu. *Echarpe* z tiulu lila *ombré* zarzucona na ramiona, na końcach jej bukiety bzu. Pończoszki lila jedwabne i atłasowe takież pantofelki.

Kostyum „Aeronautka“. Suknia formy *princesse,* krótka do kolan z jedwabiu; górna połowa biała, malowana w jaskółki w locie, dolna z błękitnego jedwabiu ze szlakiem malowanym w aeroplany oraz insygnia odpowiednie. Pończochy i pantofelki niebieskie. Stanik u wykroju zakończony



Rys. 4. Suknia wieczorowa z białego *pongy.*

Rys. 5. Suknia wizytowa z czarnej *charmeuse.*

chmurą błękitnego kreponu, w który wpięta jest z przodu róża. Rękawki do łokcia z mankietem *mousquetaire.* Na głowie przezroczy zawój z kreponu, po obu stronach na wysokość uszu dwie wielkie róże. *Echarpe* z białego tiulu.

W dniu 2 lutego, gdzie program opiewał zabawę dziecinną, stawiło się moc pięknych kostyumów, bynajmniej nie dziecinnych. Tak efektowne kostyumy: „Ziemia“ (panny Witkowskiej) i siostry tejże kostyum narodowy polski. Dalej kostyum „Arlekin“, „Księżyc“ i głównie chwalony „Mandarynka“ (p. Hajdukiewicz). Rozumie się, że zabawa była ożywiona. *Mora.*

Rozwiązanie zagadek z Nr. 4.

Trójkąt magiczny:

J u l i u s z S ł o w a c k i
U r b a ń s k i A u r e l i
L o n g o b a r d o w i e
I n d e p e n d e n c i
U l t r a m a r y n a
S a n d o m i e r z
Z b o r o w s c y
S t a ń c z y k
Ł ę c z y c a
O d e s s a
W a n d a
A l b a
C i s
K u
I

Zadanie konikowe:

Gdy zardzewiałe drzwi kostnicy zgrzytną,
Czaszki, co w słońce oczodoły szczerzą,
W nieutulony zdi się płacz uderzą
Tuż za kamiennym progiem róże kwitną,
Tuż Garda tonią czaruje błękitną
Tuż się Alp szczyty na lazurze śnieżą.

Zadanie literackie:

Kama
Uda
Sara
Zeno
Eon
Nogi
Iris
Era
San
Zaza
Ara
Tora
Arya
Noc
Amor

Kwadrat magiczny:

W z r o k
Z m o r a
R o d a n
O r a w a
K a n a ł

Szarada: Szarady.

Zadanie do przestawienia: Krowa, co ryczy, mało mleka daje.

Łamigłówka: Zawisza Czarny.

Dobre rozwiązania nadesłali Po: M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Morawski Rzeszów, K. Łopatkiewicz Sambor, J Lipski Czerniowce, M. Krawecki Rzeszów, S Piotrowski Częstochowa, H. Lasocińska Kraków, J. Rakowski Kraków, A Majewska Lwów, M. Gliński Kołomyja, J Torczyński Kijów, H Wąsowicz Warszawa, J. Gąsowski Warszawa, Z. Smoleński Sandomierz, W. Ostrowski Sandomierz, J Kwaśniewski Przemyśl, W Bandrowski Lwów, M. Lech Kalisz, J. Brzozowski Przemyśl, J. Dzierzyński Sanok, M Świtlik Sanok, H. Dobrowolski Rzeszów, M. Zgliniecki Tarnów, H. Gizowska Tarnów, K Dąbrycz Krosno, J. Pytlik Radomyśl, H. Maresz Cieszyn, J. Jahoda Cieszyn. K. Tokarski Lwów, A. Balicki Stanisławów, H Kozicki Sanok, J. Dzikowski Tomaszów, K. Radoszewski Jasło, J Engelberg Rzeszów, M Klappholz Sanok, H. Piątek Podwołoczyska, K. Batko Bochnia, J. Szymański Wieliczka, C. Wang Tarnobrzeg, J. Lindenbaum Czerniowce, M. Tuszyńska Kraków, J. Wiśniewski Sambor, L Sobański Warszawa, Z. Gajer Mszana, J. Nowacki Przemyśl, I Brzostowski Kraków, H Wysocki Jarosław, M Zaleska Kołomyja, M. Wojkowski Tarnopol, H. Engel Sambor, K. Gil Krosno, J. Zabierzewski Tarnobrzeg, H. Łapiński Kolbuszowa, M. Olszańska Kraków, F. Obraczay Przerów, J. Wagner Wiedeń, T. Legeżyński Warszawa, M. Gottwald Jasło, K. Heller Kołomyja, S. Kopernicki Warszawa, T. Nalewajko Częstochowa, M. Więckowska Sandomierz, J. Krobicki Sanok, S. Bukowski Kraków, H. Maciejowska Winnica, J. Zadęcki Lwów, K. Barbacki Kraków, J. Antosz Kołomyja, S. Aronsohn Stanisławów, M. Barnat Cieszyn, W. Grodecki Rzeszów, A. Ochabowski Kraków, C. Zamorska Kraków, J. Karliński Sambor, W. Thun Płock, J. Mazaraki Cieszyn, H. Trepka Sandomierz, J. Lisowski Jasło, T. Dudek Cieszyn, K Pilecki Lwów, J. Burliga Janów, H. Sperling Wiedeń, W. Łuczko Lisko, S. Wasilewski Zakopane, J. Lipinski Zakopane, J. Żugaj Rzeszów, H Komornicki Rzeszów, J. Wołyniec Brzeżany, J. Mróz Rzeszów, K. Ciszewski Lwów, S. Krzyżanowski Kraków, M. Malicki Tarnopol, J. Stępień Budapeszt, W. Potocka Kraków, R Knapik Kraków, J. Kopczyńska Sandomierz, D. Sedyńska Kraków, J. Hillenbrand Lwów, K. Fuchs Czeremchów, M Serbeńska Budzanów, K. Turecka Tarnopol, K. Kaim Kraków, F. Kosoń Bronowice, S. Kowalówka Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **H. Wysocki Jarosław.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Łan Młodzieży. Dwutygodnik kształcącej się młodzieży polskiej. Wychodzi 15 każdego miesiąca z wyjątkiem lipca i sierpnia Redakcya i administracya Kraków, ul Batorego.

Treść nru 48: Śmierć Proroka — Z notatek podróżnych. W Gąsiorowski. — Wschód słońca nad Grecyą. S Szadkowska — Otręby polityczno-społeczne. T Rytwian — Nulla dies sine linea — Z Gorców. K. Kaschnitz. — Femina. — Przed tem oknem. H. Dąbrowski. — Z teatru. — Gwiazdkowa wystawa Sztuk Pięknych. — Nowe książki — Poczta Łanu. — Z życia młodzieży. — Bróżdą. — Książki nadesłane Redakcyi. — Notatki historyczne.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

44

Stróżka była bardzo przejęta dramatem, którego domyślała się z tak hojnego napiwku.

— I wszyscy trzej wyszli? — ciągnął dalej Juliusz Maixent.

— Tak, panie.

— A nie widziała pani, dokąd udali się?

— Owszem, panie... Wsiedli do samochodu, który na nich czekał.

— Kufer złożono na wierzchu?

— Tak.

— A przypomina sobie pani, jak wyglądał służący?

— Nie bardzo.

— A ten pan, co niósł koszyk?

— Nie więcej... Zdaje mi się tylko, iż miał bokobrody.

— A w jakiej liberyi był służący?

— W wspaniałej... Była ona koloru jasno niebieskiego i z sutemi złotemi lampasami...

— Tak, to ten!

Juliusz Maixent już się upewnił. Podziękował i wyszedł z mieszkania stróżki z Ewą i Joem Smithem. W dziesięć minut potem wszyscy troje wychodzili z samochodu nad brzegami Sekwany przed fabryką Cartelegue'ów. Zapytali woźnego o Piotra. Przeprowadzono ich natychmiast przez kilka ogromnych dziedzińców fabrycznych, potem przez liczne długie korytarze i wreszcie otworzono przed nimi drzwi do biura. Młody człowiek siedział przy biurku pośrodku wielkiego gabinetu. Nie pracował. Głowę miał wspartą na rękach i zdawał się być pogrążonym w jakiejś głębokiej zadumie. Na widok Lewisa Jacksona o uroczystej minie, bardzo podnieconego Smitha i młodej wzruszonej panny, zerwał się nerwowo z miejsca.

— Co nowego? — rzekł stłumionym głosem.— Co się stało?

Miliarder odpowiedział spokojnie.

— Wiemy już wszystko.

Piotr ani drgnął, jakby został wryty w ziemię. Na całej jednak postaci jego malowało się jedno, niespokojne zapytanie.

Lewis Jackson mówił dalej:

— Karol Turner nazywa się Ernest Panajon... Był już kilkakrotnie karany sądownie... Dopuścił się tej nocy kradzieży z włamaniem... To wykryła policya... Ja jednak dowiedziałem się jeszcze, że Karol Turner, to znaczy Ernest Panajon porwał w istocie, jak tego domyślaliśmy się, Ludwikę Dubois i uwiózł ją w kufrze...

— W kufrze?... — zawołał Piotr.

— W kufrze, który ci bandyci odwieźli gdzieś samochodem.

— Lecz gdzie ona teraz jest?

— Ludwika? Ach! Żądasz odemnie za wiele odrazu!

— A ten nędznik?

— Panajon? I tego również nie wiem!

— Nie został więc aresztowany?

— Nie.

— I nie prędko to nastąpi — dodał Joe Smith.— Ta pani — mówił dalej, wskazując na Ewę — słyszała to przed chwilą od urzędników policyi... Nie tak prędko więc będzie można go ujrzeć...

Zapukano do drzwi.

— Proszę! — odrzekł machinalnie Piotr Cartelegue.

Ukazał się woźny i oznajmił:

— Pan Panajon!

VI.

Gdy Panajon skończył już swą robotę przy kasie ogniotrwałej zawołał do siebie Euzebiusza pod pretekstem potrzymania piły i szepnął mu do ucha:

— Jeżeli usłyszysz za sobą wystrzały z rewolweru, udawaj zabitego... Nie bój się nic... Nikt cię nawet nie zadraśnie...

Herkules przerażony tem wytrzeszczył szeroko swe wielkie niebieskie oczy. Nie odpowiedział jednak ani słowa. Zawsze był uległy swemu panu. W chwilę potem Panajon wyciągnął z kasy ogniotrwałej paczkę banknotów, a jednocześnie za nimi rozległy się strzały. Obydwaj złodzieje padli natychmiast na ziemię, podczas gdy Maksym Duret strzelał do nich w dalszym ciągu. Gdy morderca wybiegł z gabinetu, Tetard otworzył jedno oko i ujrzał, iż Panajon miał już otwarte oba.

— Ani słowa! — rozkazał szeptem Panajon.

Nadsłuchiwał bacznie. Z ogrodu dochodziły urywki rozmowy między prezesem a policyantami.

— Uważaj! Pójdziesz za mną! — rzekł, gdy usłyszał, iż wszyscy zbliżają się do domu.

Nie poruszył się jednak jeszcze. Możnaby było dojrzeć ich z ulicy. Lecz jak tylko Maksym Duret i towarzysze jego weszli do przedsionka, zerwał się lekko na nogi, podbiegł do teki, w której prezes schował pieniądze, zabrał je i wyskoczył przez okno, a za nim Euzebiusz. Rowery policyantów stały przy ogródku oparte o pień drzewa. Panajon siadł na jeden, Euzebiusz na drugi i w chwilę potem pędzili cicho przed siebie.

— Lepiej się wszystko odbyło — rzekł wreszcie Panajon — niż przypuszczałem. I rowery na nas czekały i kieszenie mam pełne pieniędzy! Co za wspaniała rozrywka! Co ty na to powiesz?

— Powiem, że to jest zdumiewające! — odrzekł Herkules, jednocześnie naciskając silniej pedały.

Euzebiusz nigdy niczem nie lubiał się zajmować i trudno go było czemś przejąć; wyprawa jednak, w której brał obecnie udział, była i dla niego czemś w istocie niezwykłem. Chciał też jak najprędzej dowiedzieć się, co to wszystko miało znaczyć.

— Tylko, mój drogi — dodał — nic tu nie rozumiem.

W tonie, jakim wygłosił to zdanie, czuć było najżywsze zainteresowanie. Panajon był w jak najlepszym humorze i chętny do rozmowy. Powtórzył też więc naradę, jaką miał poprzedniego wieczoru w kawiarni przy ulicy Royale z Maksymem Duretem. Euzebiusz ze zmarszczonem czołem i otwartemi ustami czynił niezwykłe dla siebie wysiłki, by zrozumieć plan prezesa. Wreszcie udało mu się to pojąć.

— No! no! — rzekł wreszcie. — Jakież to bywają najrozmaitsze zbrodnicze typy!.. Któżby mógł posądzać o to tego?... Biurżuj, prawie że urzędnik, który chodził zawsze z taką miną, iż na mnie skóra cierpła...

— Tak! tak! mój kochany — odrzekł Panajon. Takie to rzeczy dzieją się w naszym poczciwym Paryżu... Ludzie tu chodzą w maskach... Ja jeszcze przed kilku godzinami byłem milionowym cudzoziemcem, a ty uczciwym służącym... Maksym Duret był filantropem... A jeszcze jest takich sto, dwieście tysięcy, których prawdziwej twarzy nikt nigdy nie ujrzy... Ach! Maski Paryża! Jaki wspaniały romans możnaby na ten temat napisać!...

Tetard potwierdzał to ruchem głowy.

— Pięknie mówisz! — podziwiał.

Ciekawość jego jednak jeszcze nie była zaspokojoną. Zapytał więc znowu:

— Lecz dlaczego Duret strzelał do nas, jeżeliś ty się z nim o wszystko umówił?

— By zachować pieniądze dla siebie, mówiąc, że trzeci włamywacz z niemi uciekł i by uwolnić się na zawsze od nas, gdyż wiedzieliśmy, co za ohydny nędznik ukrywa się pod jego maską szlachetnego filantropa!

— Ah! kanalia! — zawołał Tetard.

— A przytem ciała nasze przy rozbitej kasie ogniotrwałej byłyby najlepszym dowodem, iż istotnie była u niego kradzież... Towarzystwo ubezpieczeń nie mogłoby żądać lepszych dowodów.

— Więc żeby orżnąć towarzystwo, nas chciał zarżnąć...

— Dobrze mówisz!

— Ah! ten stary nędznik! Trudno sobie wyobrazić większego łajdaka!

— Istotnie... Lecz jak na debiut w naszej szlachetnej profesyi, to dobrze wszystko obmyślił... Prawie że żałuję, iż to mu się nie udało...

— Jakto! Przecież...

— Cicho! Ty nie jesteś w stanie zrozumieć żalu wywołanego szlachetną miłością dla sztuki! Już ci powiedziałem ze sto razy, iż nie jesteś artystą, lecz rzemieślnikiem! Tem tylko pocieszam się w niepowodzeniu Dureta, iż ja za to zwyciężyłem, a mój tryumf jest zarazem tryumfem całej naszej korporacyi.

Panajon zamilkł. Dojeżdżali do początku bulwaru Bineau.

— Zostawmy tu nasze maszyny — rzekł po przerwie, zeskakując z roweru. — Skorzystajmy z tego, że jesteśmy jeszcze w cieniu parku i porzućmy je. Nie będziemy wiedzieli potem, co z niemi zrobić.

— A dlaczego nie mamy wrócić na nich? — zapytał Tetard.

Tramwaje przestały już kursować i nie było nadziei na znalezienie dorożki.

— Boisz się iść pieszo do Magdaleny?

— Cóż robić!

— Ach ty prostaku! Żadnych rozmów! Zostaw rower! Czy nie myślisz o tem, że za kilka minut zatelefonują o nas do wszystkich komisaryatów? Nasi policyanci już teraz biegną spoceni za swemi maszynami. I dziś w nocy nie ukaże się jeden cyklista, by go policya nie przytrzymała na rogu ulicy!

— To prawda!

Euzebiusz był posłuszny. Jego opór nigdy nie trwał długo, rodził się on bowiem zawsze tylko z lenistwa. Obydwaj złodzieje oparli rowery o drzewo i wychodząc z cieniu bulwaru Bineau, przeszli przez plac Champerret.

— Lecz dlaczego Duret strzelał do nas sześć razy i nie trafił? — zapytał Tetard, powracając do przerwanej rozmowy. — I skąd wiedziałeś, że nas nie trafi?

— Mój stary — wyjaśnił Panajon — zanim ten sympatyczny prezes zaproponował mi to niezwykłe włamanie, ja już mu nie ufałem... Podejrzewałem w tem coś złego... Mój poczciwiec dziwnie się zachowywał... On, zwykle taki wyniosły i pyszny, zwłaszcza w stosunku do mnie, w ostatnim czasie stał się bardzo uprzejmym i prawie przyjacielskim... Wydało mi się to podejrzanem...

Złodziej na kilka chwil przerwał swe opowiadanie. Przechodzili koło baryery i urzędnik cłowy, na poły śpiący, spoglądał krzywem okiem na tych spóźnionych przechodniów, z których jeden, wyższy, miał wygląd wcale nie obiecujący.

— Miałem więc się na baczności — zaczął znowu Panajon. — I gdy wczoraj wieczorem wyłożył mi swój plan, odrazu pojąłem powody jego serdeczności... Łajdak ten traktował mnie jako kolegę, bym się nie zdziwił bardzo, że on organizuje taką kradzież... Zachowywał się tak, jakby należał już do naszych... „Ah! mój opryszku — pomyślałem sobie, gdy odkrył mi swój plan. Teraz wiem, dokąd ty zmierzasz. Chcesz do współki ze mną zagrać partyę *fric-frac!*"

Włamanie w żargonie złodziei nazywa się *fric-frac.*

— Lecz — ciągnął dalej Panajon — na pomysł takiego przedsięwzięcia wpadł on nie pod wpływem mych gróźb, gdyż one datowały się dopiero od kilku godzin... Nie pobudzała go do tego i żadna inna konieczność... Podejrzliwość moja rosła... Że Duret naciskany przezemnie wymyślił okradzenie samego siebie, to możliwe, lecz że on się na to zdecydował nie mając noża na gardle, to jest nie do uwierzenia. Stary łajdak gotów był do wszystkiego, by zachować tylko swą skórę i dobre imię... Żadnego bogactwa do skradzenia nie miał u siebie, a nas się bał... Jakieś więc inne pobudki nim kierowały, a nie zamiar okradzenia siebie i zarobienia na tem... Taką pobudką mogłaby być chęć schwytania nas w sidła...

— Psiakrew! Jak tyś to wszystko pięknie wykombinował! — rzekł Tetard. który z podziwem a z większym jeszcze trudem śledził wywody swego pana.

— Źle! Bardzo źle! Moje rozumowanie jest subtelne, ale i słabe... Podstawa jego, ta zmiana zachowania się Dureta, jest bardzo chwiejna... Bardzo często tak z sobą dyskutuję i zawsze bardzo pobieżnie... Nie dyalektyce swej winienem zawdzięczać, żem się nie pomylił, lecz swemu węchowi — ciągnął dalej złodziej, rozmawiając raczej z sobą, niż ze swym towarzyszem.

— I zawsze trafisz w środek, a ja, żebym nie wiem jak wszystko obmyślał i mierzył, nigdy do celu nie trafię.

Panajon nie zwrócił uwagi na ubolewania swego lokaja i mówił dalej:

— Jakież to sidła mógł on zastawić? Nie łatwo było tego domyśleć się!

— Nie łatwo dla kogo innego, ale nie dla ciebie!

— To też, gdyśmy przybyli do tego drogiego przyjaciela, rewolwer miałem w kieszeni...

— A dlaczegoś nie skorzystał z niego?

— Kupiłem go nie dla obrony swej... lecz by go zamienić na rewolwer, który, jak przewidywałem, będzie on miał w swej kieszeni... Znałem już jego rewolwer... Widziałem go raz czy dwa razy w szufladzie jego biurka... Kupiłem więc zupełnie taki sam i nabity nabojami pełnemi prochu... ale bez kul...

— Ah! zdziwił się Tetard.

— Wchodząc do gabinetu, trąciliśmy się wszyscy w ciemności i wtedy w jednem mgnieniu oka nastąpiła zamiana broni... Patrz! Oto rewolwer kochanego prezesa!

I Panajon wyjął z kieszeni nowy, elegancki rewolwer.

— Co to za człowiek! — rzekł Tetard, podziwiając obecnie przewrotność filantropa.

Obydwaj złodzieje szli przez avenue Villiers i przechodzili koło ulicy Demdurs, na której ujrzeli idących dwóch ludzi. W zmroku nie mogli rozpoznać ich rysów, szli więc dalej spokojnie, nie interesując się wcale tem spotkaniem. Przechodnie ci jednak zatrzymali się. Tetard i Panajon w chwili tej znaleźli się właśnie koło latarni, która jasno oświeciła ich rysy.

— Ależ ja znam tę twarz!...

— Ah...

— Mogę nawet powiedzieć te twarze!... Panajon i Tetard!...

— To oni?...

— We własnej swej postaci!...

— Dokąd to oni mogą iść o tej porze?...

— Trzeba się przekonać!...

Te kilka zdań zamienili z sobą po cichu ci dwaj nieznajomi. Byli to inspektor jeneralny policyi bezpieczeństwa Loustan i jeden z jego ajentów. Wracali z rewizyi jednego podejrzanego domu z dzielnicy Ternes. Bystry wzrok sławnego detektywa odrazu rozpoznał obydwóch złodziei.

— Idźmy za nimi! — rzekł Loustan.

I skręcił razem z ajentem na avenue Villiers Tetard i Panajon oddalali się.

— Obrócą się oni za siebie nie raz — mówił dalej inspektor — zwłaszcza jeżeli zamyślają coś niedobrego... Słuchaj!...

— Słucham...

— Ja będę udawał pijanego, a ty zrobisz minę jakbyś mnie odprowadzał do domu..

— Dobrze!

Kroki Loustana stały się chwiejnemi. Inspektor chwiał się na nogach. Towarzysz podtrzymywał go pod ramię i mówił coś z gestykulacyą, jakby chciał go do czegoś namówić.

— Bardzo dobrze — rzekł inspektor. — Idźmy tak dalej.

— A możebyśmy przyspieszyli kroku? — zaproponował ajent.

— Po co?

— By zbliżyć się do nich... Boję się, że możemy ich na jakim skręcie ulicy stracić z oczu...

— Niema obawy! Gdybyśmy jednak byli bliżej nich, w razie gdyby się odwrócili, jak będziemy przechodzili koło latarni, zostanę zaraz poznany, tak jak i oni zostali poznani.

— Czy oni znają pana inspektora?

— Tetard nigdy mnie nie widział, a przynajmniej nie zauważył... Ja zaś raz go tylko widziałem przed dwoma laty na ławie oskarżonych...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Podane litery rozstawić w ten sposób, aby utworzyły szereg wyrazów. Środkowy rząd pionowy i poziomy podadzą nam imię i nazwisko polskiego pisarza.

a
a a a
a a a a a
a a a a a a a
a a a c c c c c d
d e e e e g g h h h
h i i i i i i i i j j j
j k k k k k k k k k k k k k
l l l l l ł ł i ł m m m m m n n
n n n u o o o o o o o o ó ó p
p r r r r r s s s s s s s s
s t t t t t t t u u u
u u u ü w w w w w w
w w w y y y y y
z z z z z
z z z
ż

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Miasto w starożytnej Fenicyi. 3. Skrzydlaty rumak. 4. Dopływ Dunaju. 5. Znany kompozytor z XVIII. wieku. 6. Poeta polski. 7. Sposób ozdabiania różnych przedmiotów. 8. Nazwisko i imię polskiego pisarza. 9. Szukane wyrazy. 10. Dwa miasta w Galicyi wschodniej 11. Dwa imiona męskie. 12. Miasto na Kaukazie. 13. Filozof grecki 14. Jezioro w Rosyi. 15. Bogini rzymska. 16. Miara angielska powierzchni. 17. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Barany, buki, zbiry, era.

Szarada.

Ułożył M. Cz. Podłęże.

Pierwsze prosto, drugie wspak
To litery?... A no tak!
Trzecie czwarte jest to ptak
Pożyteczny... A no tak!
Czwarta piąta, rad nie rad
Lecz przyznajesz: A no tak!
Całość broni nas od strat,
Zwraca koszta... A no tak!

Łamigłówka.

Ułożył K. Fuchs Czeremchów.

Z liter karty wizytowej tego pana ułożyć jego zawód.

Kornel Dowojko
Kuty.

Krzyż magiczny.

Ułożył K. Fuchs, Czeremchów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a
a e e
e e f
f g g i i l m m n
n n n o o o o r r
r s s t t t u u u
u y y
y y z
z z z

Znaczenie wyrazów: 1. Imię żeńskie. 2. Imię męskie. 3. Zakład przemysłowo-rolniczy.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie:

Dym, guz, Elba, woda, raj, wązki, ona, wino, ę, nie.

Logogryf.

Ułożył J. Lefas, Warszawa.

Rząd środkowy odgadniętych [...]razów czytany z góry na dół, utworzy nazwisko [...]tora polskiego.

□
— — — □ — — —
— □ —
— — — □ — — —
— □ —
— — — □ — — —
— □ —
— — — □ — — —
— □ —
— — — □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Minerał. 3. Część ciała. 4. Kolor. 5. Metal. 6. Sprzęt domowy. 7. Imię żeńskie. 8. Zwierzę domowe. 9. Rzeka w Rosyi. 10. Małe drzewo szpilkowe.

Łamigłówka.

Ułożyła Dołężanka, Jordanówka.

Podane wyrazy w ten sposób uzupełnić, aby pierwszy rząd podał imię i nazwisko znanego polskiego rzeźbiarza.

— aba
— zon
— ara
— nna
— ana
— eta
— tna
— aza
— rak
— ewa
— oki
— dra
— oda
— owa
— awa
— kra

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Jana Duklana Ochockiego* **Pamiętniki.** (Sześć tomów).

„HOTEL NARODOWY“

[...]W, ulica Poselska 22.

Po przejściu na innego właściciela **gruntownie zewnątrz i wewnątrz odrestaurowany.** Pokoje na parterze i piętrze nowo urządzone, parkiety, światło elektryczne, korytarze ogrzewane. Restauracya, łazienki, telefon i stajnia w miejscu.

Cena pokoi ze światłem i usługą od 2 koron w zwyż.

Magazyn Krawiecki M. Czaji i W. Rechowicza

KRAKOW, Mikołajska L. 24.

Materyały i krój angielski, wykończenie artystyczne



Lekarz: Tak mój panie skoro chcesz być bezwarunkowo zabezpieczonym, kup sobie „OLLA“ najnowszą hygieniczną specyalność gumową, gdyż „OLLA“, jak wyniki dzisiejszej nauki stwierdziły, jest najlepszym środkiem hygienicznym ze wszystkich dziś istniejących, wypróbowanym, przez lekarzy poleconym. — Dwuletnia gwarancya dla każdej sztuki.

Pan: Ależ konsyliarzu, gdzie mogę nabyć „OLLA“?

Lekarz: W każdej aptece i w każdej lepszej droguery dostanie pan tzw. „OLLA“ w czterech cenach po koron 4·—, 6·—, 8·— i 10·—. Gdyby gdzieś „OLLI“ nie było na składzie lub zalecano inną markę należy odmówić.

Nalegaj Pan atoli, aby dostawca Pański dał Panu „OLLĘ“ i nie daj się Pan zbyć jakiemś mniej wartościowem naśladownictwem, które za tę samą cenę co „OLLA“ bywa polecanem przez więcej jak 2000 lekarzy. Jeżeli aptekarz lub droguerzysta nie posiada w swym interesie „OLLĘ“, to zwróć się Pan natychmiast wprost do głównego składu

„OLLA“ Fabryka hygienicznych artykułów gumowych

Wiedeń, I/309 Praterstrasse 57

a my Panu natychmiast świeży i doborowy materyał ewent. wolny od opłaty nadeslemy. Wskutek spec. naszych zabiegów, otrzymuje „OLLA“ **idealną delikatność i trwałość,** jakiej żaden fabrykat nawet w przybliżeniu dotąd nie osięgnął.

Cenniki, pouczenia i źródła nabycia gratis.

Między innymi można nabyć „OLLĘ“ we Lwowie: w aptekach P. Mikolascha, J. Beisera, Ad. Aschkenazego, N. Dobrzanskiego, F. Dewechy'ego, J. Piepes-Poratyńskiego, Ant. Eurbara, **w drogueryach:** Jak. Rechena, Ign. Schrenzla, H. Grunspanna, Al. Hubnera, A. Beacoka.

W Krakowie w aptekach: M. Pronia, K. Wiszniewskiego, N. Gralewskiego, **w drogueryach:** I. Hanaka i Ski, R. Dronera, Reima i Ski, Zopota i Ski, J. Linka, A. Pachuckiego, J. Wiśniewskiego, Z. Komorowskiego.

w Bochni: u J. Michnika; **w Brodach:** u L. Kallira;
w Jarosławiu: J. Wyszatyckiego, V. Brillanta;
w Stanisławowie: M. Bibringa; **w Kołomyi:** E. Stenzla;
w Tarnopolu: A. Krzyżanowskiego, Dr. Franzosa, O. Hellmanna;
w Tarnowie: J. Niesiołowskiego, W. Bracha;
w Przemyślu: M. Schwarza i F. Wojciechowskiego etc.

Pierwsze europejskie c. k Etablissement wyłącznie patentowanych cyter artystycznych, instrumentów, skład strun i t. d. Skład utensiliów szkolnych i muzycznych. Nakład i wysyłki światowej sławy.



Nowość! Patentowane! Sławne! Według systemu wiolinowego z podziałką, sklepieniem i otworkami, zatem o niezrównanej rezonacyi. Artystycz. Cytry z samouczkiem niemieckim! Użyczam na próbę bez przymusu kupna. Jeśli cytra nie jest nieurogulowaną w tonie, albo jeśli nie można bez pomocy nauczyciela korzystać ze samouczka, słowem jeśli tak jedno jak drugie nie jest prawdziwym cudem, w takim razie przyjmuję towar z powrotem i zwracam pieniądze odwrotnie. Proszę zażądać cennika illustrowanego!

Pneumatyczne osadki do górnych lub dolnych sztucznych zębów „Dentsfixes“.

Chronią od bolesnego nacisku i utrwalają znakomicie nawet przy zaniku dziąseł i zupełnym braku własnych zębów. 30 sztuk listem pole conym 3 kor. 45 h do nabycia:

W Krakowie: w drogeryi Jana Linka, Sławkowska L. 1.
We Lwowie: w aptece Dra Piotra Mikolascha.
W Sanoku: w aptece Piotra Wąsowicza.
W Ustrzykach: w apt. dzierż. Tadeusza Frankowskiego.

W. Filipkiewicz i T. Bętkowski

Spółka krawiecka

w Krakowie, ul. Floryańska 57



MAGAZYN SUKIEN MĘSKICH

SKŁAD materyałów angielskich i krajowych.

Rewolucya w Portugalii.

Rewolucya Portugalska nie pominęła także i Austro-Węgier, przez co **wielka fabryka derek na konie** zpowodowaną została cały swój zapas derek na konie, ktory przeznaczony był do Portugalii, za małem wynagrodzeniem własnych ich kosztów produkcyi oddawać.

100.000 derek na konie!



Z tej to fabryki **derek** udało mi się tanio zakupić, tak że jestem w stanie ciężką wełnianą derkę 140 cm. szer., 180 cm. długą w przepysznych kolorach (w kratki) wysyłać.

à K 6·— za sztukę

Jeżeliby kto z kupionej u mnie derki nie był zadowolony, odbieram takową bez zarzutu i zwracam pieniądze.

Pierwszy największy morawski Dom wysyłkowy

Julius Hoitasch, Göding Nr. 125 (Mähren).

Bogato illustr. katalog główny na życzenie darmo i opłatnie.



Pierścionki zaręczynowe i ślubne



zegarki, zegary, łańcuszki, srebro stołowe oraz wszelkie wyroby jubilerskie

poleca najtaniej **EMIL GOLDWASSER**

W KRAKOWIE (obecnie w nowym lokalu) UL. GRODZKA 25.

Bogato illustrowany katalog wysyła na żądanie darmo.

Jadalnie, Sypialnie, Salony, Portiery, Firanki, Dywany, Chodniki, Materye meblowe

jedwabne i dywanowe poleca najtaniej za gotówkę lub na spłaty

K. Toczyski we Lwowie ul. Sykstuska 19.

Własna pracownia stolarska i tapicerska. Ceny najumiarkowańsze

8 dni na próbę!

Nie kupujcie zegarków bez wypróbowania.

Wysyłam każdemu za zamówieniem prawdziwy 14-kar. złoty-plaque-męzki zegarek z podwójnym płaszczem za cenę **Kor. 20.**

Przy zamówieniu płaci się tylko połowę, a po czasie próby resztę. — Gwarancya 3-letnia.

Zamówienia przyjmuje

Joh. Weiner, Wiedeń XIX/1 Boschstr. 2/7.

Kapsułki laricynowe

Dra Kleina

(urzęd. ochr.) leczy w 5 dniach (rzeżączkę) i każdą zaraźliwą **mężką i kobiecą chorobę;** dla żołądka zupełnie nieszkodliwe. Przyjemniejsze i praktyczniejsze jak podobne środki zagraniczne (Santal, Santyl, Gonorol, Gonossan etc.) Skutki zadziwiające. Pierwszorzędne fachowe świadectwa.

Duże pudełko **K 2·50.** Wysyłka pod dyskrecyą tylko za zaliczką. Fabrykacya jun. **Illés'a,** aptekarza, Szabadka. Główny skład i wyrób własny

Jfj. **Jllés Antal, Aptekarz w Szabadka,** Węgry,

Zegar z kukułką K 8·50



Nr. 4453. Pięknie rzeźbiony domek u góry z ptaszkiem, z liczbami z kości, nawoł. półgodz. i godz., 32 cm. wysoki, całkowity o 2 bronz. wagach w kształcie szyszek dobrze obci gn. **I-a werk szkocki K 8·50.**

Nr. 4419. Zegar kuchenny okrągły 8 dni idący, I-a jakości, w blasz. domku 30 cm. średnicy **K 6·50.** Nr. 4404. Tensam 16 cm. średnicy **K 3·—.**

Do każdego zegara dodaje się trzyletnią pisemną gwaranc. **Bez ryzyka!** Wymiana dozwol. lub zwrot pieniędzy. Przesyła za zaliczką lub za poprzedniem nadesł. należytości.

Pierwsza fabryka zegarów

Hanns Konrad, c. i k. nadw. dost. **w Brüx Nr. 3632 (Czechy).**

Bogato ilustr. katalog gł. z 3000 rycin. wysył. darmo i opłatnie.

Gazeta losowań

wychodzi 2-go każdego miesiąca i zawiera

wykazy odbytych losowań wszelkich losów.

Administracya „Gazety losowań“ odpowiada też na wszelkie zapytania tyczące się losów i papierów wartościowych.

Abonament całoroczny K 2·—

Prosimy przy wysłaniu prenumeraty o podanie dokładnego adresu.

ADMINISTRACYA „GAZETY LOSOWAŃ“

PRAGA (Czechy).

Pierwszorzędna Pracownia SUKIEN MĘSKICH Leona Grabowskiego

Materyały i krój angielski

właściciel firmy: **Gabryel Grabowski**

Wykończenie artystyczne.

w Krakowie, ulica Szpitalna L. 36. Telefon Nr. 361.

Pierwszorzędny Zakład pogrzebowy i fabryczny skład trumien J. HORAK

Kraków, Mikołajska l. 14. Telefon 248.

Wspaniałe urządzenia pogrzebowe, ekshumacye, sprowadzania i przewozy zwłok. — **Ceny umiarkowane — Rzetelna obsługa.**

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.